KAMENA

DWUTYGODNIK • LITERACKI

LUBLIN

15 - 31.VIII.1960

Nr 15-16 (205-6)

ROK XXVII

CENA 2 ZŁ

W NUMERZE: Nagrody wojewódzkie 1960 r. • Konkurs na projekt teatru • Wspomnienia i rzeczywistość • Rzym na codzień • Człowiek jest nagi • W stronę młodych • Z lat szkolnych • Droga pokolenia • Gościnne występy teatru Osterwy • Przegląd literacki • I in.

WESTERPLATTE

WACŁAW GRALEWSKI

Są słowa, które zmieniają obywatelstwo tak, jak ludzie. Zrodzone w jednym kraju, w drugim znajdują swą prawdziwą ojczyznę, zrywają więź z miejscem swego powstania i stają się żywym wcieleniem myśli i uczuć innego narodu. I choć formalnie tkwią w pierwotnym źródle, treścią mocno zespalają się z nowym gruntem.

Westerplatte!

Nie ma chyba Polaka, dla którego ten wyraz brzmiałby obco. Ma on dziś głęboko swojskie brzmienie, coś z potocznej, na wskroś polskiej mowy. Wrósł w nas i tętno jego życia czujemy w sobie.

Potwierdzić może tę prawdę prosty psychologiczny przykład. Polacy lubią spolszczać obce wyrazy. Są niezadowoleni, gdy im się to nie udaje. Popularne są u nas konkursy na spolszczenia. Ale proszę sobie wyobrazić propozycję spolszczenia słowa Westerplatte i ogłoszenia konkursu. Najspokojniejsi uznaliby to za pomysł poroniony i wręcz idiotyczny, a krewcy za świętokradztwo.

— To słowo krwią zostało zdobyte dla języka polskiego — wołaliby zapaleńcy.

Gdybyśmy obywatelstwo tego słowa miarą krwi przelanej mierzyć chcieli, no to... okazałoby się, że miara ta po naszej stronie duża nie jest. Przecież już w pierwszym ataku Niemcy stracili w zabitych i rannych więcej niż liczyła cała załoga polska. A potem... Trup padał gęsto, ale niemiecki. Piaski Westerplatte syciły się obficie krwią germańską, która dała obfity... polski plon.

Dziwna jest czasem historia. Staje się jakby alchemią. Ołów buty najeźdźców i krzywoprzysiężców zamienił się w najprawdziwsze złoto polskiego patriotyzmu i poświęcenia. Może tajemnicą jest tu miara zwycięstwa moralnego, ofiary garstki, która stawiła piersi tysiącom i olbrzymiej sile uderzeniowej ówczesnej techniki wojennej.

W tym miejscu rozważania trzeba przerwać. Chodzenie po krawędziach patosu jest nie tylko dla stylistyki niebezpieczne.

Spróbujmy słowo zamienić na obraz, zastąpmy je spojrzeniem rzuconym na mały skrawek ziemi.

*

Z przystani na Motławie co parę godzin odpływa nieduży statek. Wycieczka na Westerplatte, kilometrów 19, koszt biletu złotych 18. Statek jest zawsze wypełniony. Zawsze do Gdańska przyjeżdżają pociągi, a i dużo gdańszczan (tych obecnych) co pewien czas odwiedza Westerplatte. Płynie się wśród rzędu kamienic, starych spichrzów, nowoczesnych budynków, różnych wytwórni, obok doków suchych i mokrych. Patrzy się na okręty pod obcą banderą, patrzy na statki, które buduje młody stoczniowy przemysł polski.

Martwa Wisła, Kanał Kaszubski, Zakręt Pięciu Gwizdków i w dali latarnia morska. Ta, która stoi przy wejściu do portu. A z prawej strony ciągnie się piaszczysty, na kilka metrów ponad wodę wzniesiony, brzeg. W głębi drzewa rozrzucone kępkami, młody lasek i zarośla.

(Dokończenie na str. 6)

Grommaire — Wojna

Warszawianka

SŁUCHOWISKO

ALEKSANDER MALISZEWSKI

Wesoły gwar. W pewnym oddaleniu muzyka taneczna. Jazz. Rock-and-roll.

Pani

To przecież młodzi...

Pan

Młodzi. Lecz zdumiewające,
jak bardzo się odmienia obraz. Przed godziną
na sali koncertowej skupienie i cisza,
uduchowione twarze, szlachetne emocje
i serca trzepotanie w chopinowskim walcu
i oczy jak pożary, gdy etiuda grzmiała
piorunami burz, które już dawno minęły,
a nigdy nie ucichną.
Oto — chopenistki
podskakują, jak kaczki w lodowatym deszczu,
a ten tam dzisiaj z tercją zmagał się nieboże,
a teraz, aż śmiech patrzeć, udaje koguta.
Zobacz — Francuz, Rosjanin, Czech... I ta rzymianka,
co uderzenie ma, jak szept motyla,
a w preludiach się modli tak, że serce staje —
popatrz jak go obraca — przełamie Anglika,
a razem z nim nadzieje muzyczne Brytanii.

Pani

Jesteś niesprawiedliwy, mój drogi.

Pan

Ogniwa...
Ogniwa mi brakuje, abym dwa obrazy —
ten z sali koncertowej i z tego salonu —
obok siebie mógł dzisiaj bez jęku ustawić.

Pani

O, nie chcę cię urazić, lecz mogłabym chyba
dać przykład...

Pan

Mów, kochanie.

Pani

Dzisiaj na bankiecie
mówiłeś o miłości i krzywd zapomnieniu,
o pokoju na świecie, braterstwie narodów,
a w domu rano jakąż... jakąż awanturę
zrobiłeś mi z powodu przypalenia mleka.

Pan

A cóż to ma do rzeczy?

Pani

Nic. Brak mi ogniwa...
Ogniwa mi brakuje, abym dwa obrazy
obok siebie dziś mogła bez jęku ustawić...

Pan

Jesteś bardzo złośliwa. O, bardzo!

Pani

Lecz proszę,
już nie gniewaj się na mnie. No, proszę...

Pan

Och, dobrze.

Pani

Ta muzyka...

Pan

Czy można nazywać muzyką
rytmiczne łomotanie w garnki pogrzebaczem?

Pani

...nie za serce mnie chwyta, lecz za nogi.

Pan

Nogi?!

Pani

Zatańczyłabym chętnie, lecz wiem... nie wypada.

Pan

Moja droga...

Pani

Ach, przecie to tylko pragnienie
jak najbardziej ukryte... Nikt wiedzieć nie będzie.
(Pauza)
Lecz gdzie nasz laureat?

Pan

Szukam go wśród gości,
i nie widzę... nie widzę...
(Pauza)
Lecz szukajmy dalej...
(Jazz i tupot tańczących przez chwilę bliżej.)

Pani

O! Jest tam! *(Pauza)* Bardzo blady...

Pan

Zapewne zmęczony.
(Odgłosy zabawy oddaliły się.)

Pan

Witam cię, drogi chłopcze.

Marek

Witam profesorze.
Jeśli państwo pozwolą — oto moja żona.
Krystyno...

Pani

O, tak wiele słyszałam o pani.

Krystyna

Bardzo prosimy do nas na kieliszek wina.

Marek

Ja, panie profesorze... wyznaję ze wstydem...
ten brak umiaru dzisiaj... i to rozwichrzenie...
a przecie wiem, pamiętam: umiar i dokładność...
Już słyszę pana słowa zagniewane srodze:
to nie była muzyka, lecz literatura.

Pan

Tak, tak, mój drogi chłopcze. Ten motyw...
ten motyw

(Ciąg dalszy na str. 4)

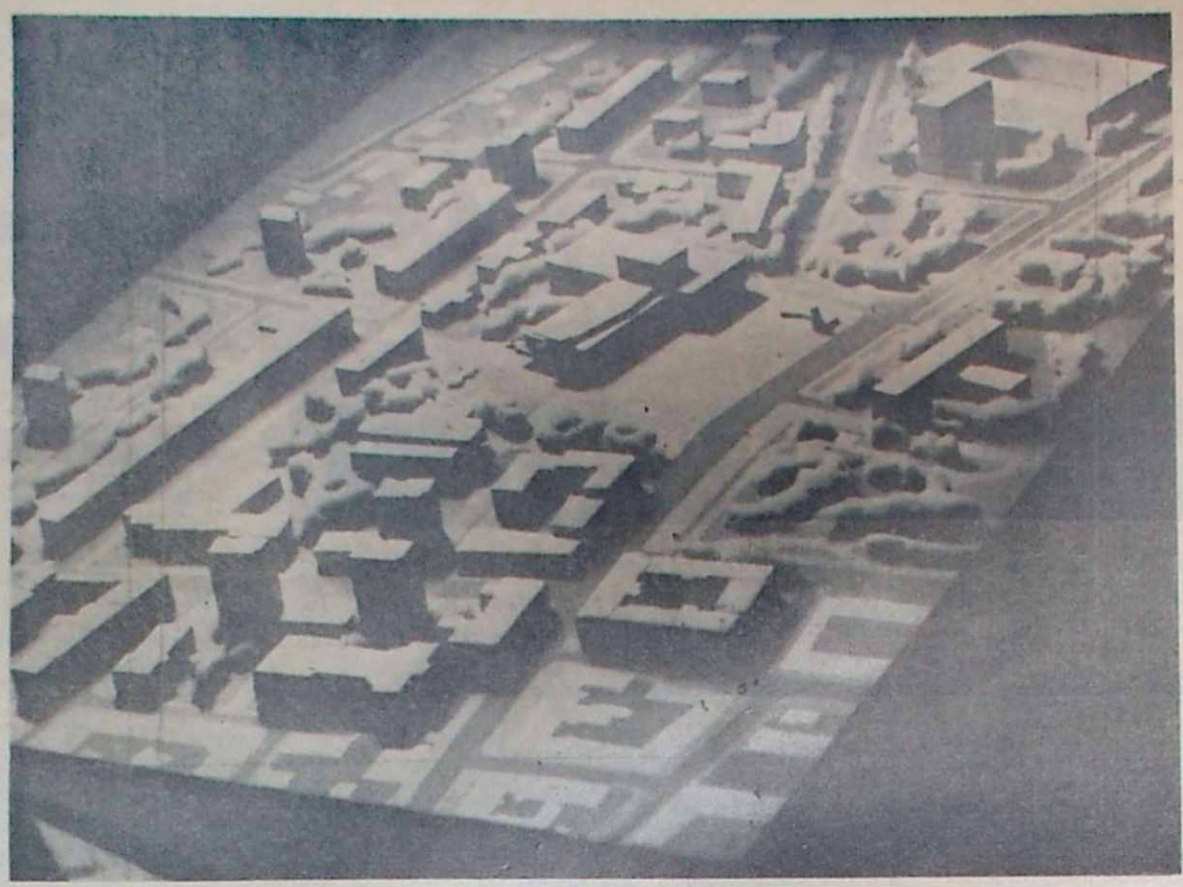

Konkurs na projekt teatru dramatycznego w Lublinie

W maju br. rozstrzygnięty został I etap Konkursu Powszechnego SARP na projekt Teatru Dramatycznego w Lublinie. Po Łodzi i Katowicach jest to trzeci z kolei konkurs na gmach teatralny w Polsce Ludowej.

Jeśli chodzi o Lublin, to obecny konkurs, jest trzecim z kolei konkursem teatralnym w naszym mieście. Pierwszy miał miejsce w 1877 roku — sporządzone zostały wówczas trzy projekty gmachu teatru, których autorami byli przedstawiciele miejscowej służby architektonicznej. Niestety „inwestor", którym miał być Roman Kozaryn, ziemianin a równocześnie prezes Lubelskiego Towarzystwa Dobroczynności, zrezygnował z ryzykownego — na owe czasy — przedsięwzięcia.

W kilka lat później zawiązana została spółka budowy i w 1883 r. ogłoszono konkurs na gmach teatru z trzema nagrodami: 750, 450 i 300 rubli. Z rozpatrzonych pięciu prac pierwszą nagrodę przyznano projektowi architekta Karola Kozłowskiego. Była to jedna z pierwszych prac późniejszego autora gmachu Filharmonii w Warszawie.

Budowę teatru rozpoczęto w 1884 r., a w dniu 7 lutego 1886 r. odbyło się już inauguracyjne przedstawienie. Warto tu przypomnieć, że Lublin miał wówczas 44 tysiące mieszkańców i oprócz „Teatru Nowego" posiadał jeszcze „Teatr Zimowy" przy ul. Jezuickiej i „Teatr Letni" przy ul. Niecałej.

Obecny konkurs został zorganizowany przez Oddział Lubelski Stowarzyszenia Architektów Polskich na zlecenie Prezydium Miejskiej Rady Narodowej, jako konkurs dwuetapowy.

Pierwszy etap konkursu miał charakter architektoniczno - urbanistyczny. Podstawowym celem było postawienie koncepcji bryły teatru oraz rozwiązanie przestrzenne najbliższego otoczenia i układu komunikacyjnego.

Budynek ma stanąć na działce o powierzchni około 1 hektara — na narożu ulic Nowotki i Grottgera, na terenie ograniczonym od zachodu ścianą szczytową trzypiętrowej kamienicy mieszkalnej, od północy zaś piętrowym — wolnostojącym budynkiem mieszkalnym.

Warunki konkursu ustalały, że Teatr winien być tak wkomponowany w otaczającą przestrzeń, by wraz z gmachem KW PZPR, Domem Oficera i Domem Technika stanowił ukształtowanie reprezentacyjnego założenia nazwanego „Placem Teatralnym".

Teatr o kubaturze około 60 tys. m³ ma pomieścić 800 osób. Przy projektowaniu gmachu należało uwzględnić nowoczesne kierunki i osiągnięcia w dziedzinie architektury i funkcji teatru.

Zainteresowanie konkursem było znaczne. Nadesłano łącznie 58 prac, ze wszystkich niemal większych ośrodków architektonicznych w Polsce.

Sąd Konkursowy pod przewodnictwem prof. Stanisława Brukalskiego, dziekana Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej, poświęcił wiele czasu na wnikliwe rozpatrzenie otrzymanych materiałów. Wobec tego, że poziom prac był na ogół wyrównany oraz ze względu na brak pracy zdecydowanie wyróżniającej się, Sąd postanowił nie przyznawać I nagrody, lecz dokonać następującego podziału sumy przeznaczonej na nagrody: dwie drugie nagrody po 45.000 zł, dwie trzecie nagrody po 32.500 zł, oraz pięć wyróżnień po 12.000 zł.

Laureatami konkursu zostali:

II nagroda — praca nr 49 — autorzy: arch. Andrzej Gucewicz, arch. Leszek Kołacz, SARP Warszawa;

II nagroda — praca nr 58 — autorzy: arch. Zbigniew Kramarz, arch. Marian Makarski, SARP Lublin;

III nagroda — praca nr 7 — autor: arch. Marian Łyczkowski, SARP Warszawa;

III nagroda — praca nr 43 — autor: arch. Stanisław Bieńkuński, SARP Warszawa.

Zgodnie z warunkami konkursu, autorzy nagrodzonych prac biorą udział w drugim jego etapie, którego rozstrzygnięcie wyłoni najlepszy projekt przeznaczony do realizacji. Omówimy wówczas rezultaty konkursu szczegółowiej.

Henryk Gawarecki

NAGRODY wojewódzkie 1960 r.

W związku z XVI rocznicą Wyzwolenia, podobnie jak w roku ubiegłym, Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Lublinie przyznało szereg dorocznych nagród wojewódzkich wyróżniającym się pracownikom na polu kulturalnym, naukowym i gospodarczym.

Nagrody otrzymali:

1) **Chór „Echo"** (nagroda zespołowa) za upowszechnianie pieśni i muzyki polskiej oraz popularyzację regionu lubelskiego.

2) **Zespół artystyczny z Siennicy Różanej** (nagroda zespołowa) za rozwijanie amatorskiego ruchu artystycznego.

3) **Kazimierz Andrzej Jaworski** za całokształt 40-letniej działalności literackiej.

4) **Stanisław Mikulski** za działalność w dziedzinie teatru.

5) **Prof. dr Feliks Skubiszewski** za osiągnięcia naukowe i pracę w służbie zdrowia.

6) **Inż. Alojzy Sztwiernia** za zasługi w budownictwie mieszkaniowym.

7) **Prof. dr Piotr Wiśniewski** za całokształt pracy naukowej i pedagogicznej na UMCS.

8) **Prof. dr Stefan Ziemnicki** za prace naukowe i badania nad erozją gleb.

9) **Mgr Henryk Zwolakiewicz** za działalność w dziedzinie plastyki.

10) **Olga Gancarz** za działalność publicystyczną i dziennikarską.

11) **Wiera Korneluk** za całokształt publicystyki kulturalnej.

12) **Tadeusz Chabros** za działalność publicystyczną w radio związaną z zagadnieniami społeczno-kulturalnymi.

13) **Lesław Gnot** za działalność publicystyczną i społeczno-kulturalną.

Lubelskie wędrówki w czasie

CZEŚĆ JEJ IMIENIU

STANISŁAW FITA

Akcja jednego z „obrazów" „RÓŻY" Żeromskiego dzieje się w szopie, gdzie zgromadzony tłum — chłopów, rzemieślników, dziewcząt, chłopców ogląda rzucane na rozwieszone na jednej ze ścian białe płótno obrazy z „latarni czarnoksięskiej".

„Obok prelegenta staje młoda kobieta i dwa kwadratowe przezrocza rzuca w ruchomą ramkę latarni. Przesunęła lekko ramkę. Ukazuje się na dużym płótnie prześliczny, wielce powiększony obraz aresztowania z „Polonii" Grottgera..."

Scena ta przywołuje echa znanych wydarzeń z terenu Nałęczowa w latach 1905 — 1908 — szopa na „Pałubach", siedziba uniwersytetu ludowego, teatru amatorskiego, miejsce spotkań grona miejscowych działaczy z kręgu towarzystwa społeczno-oświatowego „Światło". Tam m. in. młoda nauczycielka, Faustyna Morzycka urządzała pokazy z „latarni czarnoksięskiej". W roku bieżącym mija 50 rocznica śmierci zasłużonej nauczycielki, pisarki i działaczki.

* * *

Córka uczestnika powstania styczniowego przyszła na świat w głębi Rosji w roku 1864. Wpływ ojca i ciotki Faustyny, znanej działaczki kręgu Entuzjastek, bliskiej przyjaciółki i współpracowniczki Narcyzy Zmichowskiej, ukształtowały od wczesnego dzieciństwa osobowość przyszłej apostołki pracy społeczno-oświatowej. Po powrocie do kraju kształci się na pensji H. Czarnockiej w Warszawie. Tu już krystalizują się jej zainteresowania społeczne i literackie, które niebawem znajdą wyraz w ożywionej działalności. W parę lat później rozpoczyna Morzycka wydawanie popularnych książeczek dla ludu oraz publikuje w „Przeglądzie Pedagogicznym", „Głosie", „Ogniwie" i „Zorzy" szereg artykułów i recenzji na temat tzw. literatury ludowej. Należy z miejsca wyjaśnić, że termin literatura ludowa inaczej niż dziś rozumiała Morzycka i pokrewni jej pisarze i publicyści. Chodziło o literaturę dla ludu, najczęściej popularyzującą wiedzę z zakresu różnych dziedzin — geografii, historii, historii literatury, rolnictwa, higieny itp. Również utwory literatury pięknej pisane były z wyraźnym zamierzeniem dydaktycznym. Taki też charakter ma całe pisarstwo Faustyny. Twórczość jej ograniczała się do popularnych szkiców biograficznych (o Janie Zamoyskim, Krasickim, Słowackim, Polu), podobnych książeczek z dziedziny geografii, „obrazków scenicznych" dla zespołów dziecięcych oraz licznych przeróbek znanych powieści (STARA BAŚŃ Kraszewskiego, PLACÓWKA Prusa). Dodajmy do tego trochę wierszy „na nutę późnoromantyczną", publikowanych w krakowskim „Diable" i „Ilustrowanym Kalendarzu Diabelskim" oraz dwie powieści (DROGAMI ŻYCIA" i „POWROTNE FALE")

(Dokończenie na str. 9)

Wspomnienia i rzeczywistość *)

ANTONI OKSYTIUK

Gdy obserwuję przejawy życia kulturalnego na terenie swojej rodzinnej wioski, gdy wspomnieniem sięgam w przeszłość, w lata zielonej młodości, chciałoby się powtórzyć, parafrazując nieco słowa Gałczyńskiego:

„I życie płynie, panta rei, a w naszej wiosce nic się nie dzieje". I rzeczywiście niewiele się działo w Dołhobrodach w latach trzydziestych, kiedy to nie mieliśmy jeszcze ani własnej biblioteki, ani agencji pocztowej, a pocztę z całego tygodnia przynosił sołtys w niedzielę pod kościół, nieledwie w kieszeni. I ten marazm kulturalny nie wynikał bynajmniej z ubóstwa mieszkańców. Wieś żyła, można powiedzieć, dostatnio. Brakło jednak pewnych odgórnych bodźców do skierowania uwagi w stronę książki i gazety. Ale i na tej pozornej pustyni kwitły oazy, widocznie pod nagą powierzchnią istniały jakieś źródła i krążyły ożywcze soki. Pomijając wszelkie inne aspekty życia naszej wsi, ograniczę się wyłącznie tylko do spraw książki i prasy...

Były to lata na krótko przed tragicznym wrześniem. Małymi grupkami po 4—6 chłopaków zbieraliśmy się w mieszkaniach kolegów, gdzie mieliśmy maximum swobody. I czytaliśmy do późna w noc. I gdy jesienny wiatr wył za oknami i szarpał okiennicami, a kontury drzew zacierały się z wolna w wieczornym mroku, każdy z chłopaków zajmował jak najwygodniejszą pozycję, bądź na łóżku, bądź na ławie, i jeden z nas zaczynał czytać, reszta słuchała w milczeniu. W pamięci mojej utkwiła szczególnie jedna twarz; nieodżałowanej pamięci Wł. W. Nieśmiały, inteligentny, opanowany, potrafił całymi godzinami trzymać słuchaczy w napięciu. Czytał świetnie. Zmarł w pełni młodzieńczych nadziei... Słuchaliśmy, a nasz niezmordowany lektor czytał godzinę — dwie, chwilkę odpoczywał paląc papierosa i kontynuował lekturę nieraz do godziny dwunastej w nocy i później. A mało było dobrych książek. Raczej szmira, literatura schodów kuchennych, trupów i krwi. Bo czytało się to, co wpadło w ręce, co zdobyliśmy w trudzie i z zaciekłą przebiegłością u kogo i gdzie się dało. Nierzadkie były wypadki, gdy jeden z kolegów pedałował 17 km na rowerze do Włodawy, by kupić gazetę czy dalszy ciąg broszurowanej powieści w odcinkach. Jakieś tam „Grajcyganie", czy „Sieci wampira" czy inne „tajemnice zamku", których tytuły uleciały mi z pamięci. Niektórzy z chłopców wypożyczali w bibliotece

(Dokończenie na str. 12)

*) *Jest to jedna z prac wyróżnionych na konkursie „Kameny" na najciekawszą korespondencję pod hasłem „Życie kulturalne mego środowiska".*

KANIKUŁA

Rzym na codzień

EWA SZELBURG-ZAREMBINA

KANIKUŁA — Psią Gwiazdą — nazywają w moich rodzinnych stronach ten specjalny rodzaj upalnej pogody, jaki czasami nawiedza świat w lecie.

W moich stronach Kanikuła bywa przejściowa, trwa krótko, więc choć dręczy okrutnie, choć bezlitośnie nuży wszystko żyjące, zarówno zwierzęta, jak rośliny i ludzi, nietrudno ją znieść mając nadzieję na niezawodny obfity deszcz, na rzeźwiące chłodem powietrze.

Dziś dalekie są ode mnie rodzinne strony z ich przyrodzoną łaskawością. Tutejsza Kanikuła trwa, zda się, bez końca, tak nic nie wróży zmiany. Ba! czas płynący bynajmniej nie narusza jej, ale ją jeszcze utwierdza.

Usiłuję przypomnieć sobie, kiedy zaczęło się to, co zmieniło dzień w piec rozpalony, hermetycznie zamknięty, a noc w łaźnię. Nie przypominam.

A przecież zajrzawszy do małej podręcznej „agendy", widzę wśród różnych dat podkreśloną datę dziewiętnastego lipca... więc nie dalej jak tydzień temu dnie były gorące tylko zwyczajnym letnim upałem? a po każdym przychodziły zwyczajne ciepłe letnie noce?

Było tak, skoro pod datą dziewiętnastego lipca znajduje się notatka o przyjemnie spędzonych paru godzinach na włóczędze wśród ulic, uliczek i zaułków Zatybrza.

Właśnie ten dzień zapoczątkowywał doroczne na Zatybrzu święto trwające zazwyczaj dni dziesięć (dziesiątka, wiadomo, liczba od niepamiętnych czasów uprzywilejowana, magiczna, przynosząca szczęście).

Cóż to jest Festa de Noantri?

— Stare święto Romanów — mówią z dumą w całym Rzymie, ale nikt nie umie przetłumaczyć mi dobrze tej nazwy. Tyle, że wszyscy zgadzają się na jedno: jest stare.

Słusznie. W nowoczesnym języku włoskim byłoby „di" na miejscu „de". Więc na własny już tylko użytek tłumaczę sobie niezupełnie ściśle, choć wiernie w duchu — „wspólne święto nas wszystkich". Bo to i jest jakaś manifestacja starej romańskiej wspólnoty obywatelskiej przechowywanej w niejasnym wspomnieniu na tym tu prawym brzegu zamulonego, leniwego Tybru, rzeki w swym odwiecznym biegu omywającej niejedną wznoszącą się i upadającą wielkość ze świata rzeczy, ludzi, idei...

W rzeczywistości to ciągnące się przez dziesięć dni święto ogarnia sobą Zatybrze bardziej niż jakakolwiek „festa" z licznego gatunku „popolare". A że nie ogranicza się tylko do mieszkańców tej jednej dzielnicy wiecznego miasta, to już zwyczajna sprawa atrakcyjności zmieniających się co dzień imprez ulicznych.

Ponieważ wybraliśmy się dopiero późnym wieczorem, ominął nas widok popołudniowej uroczystej procesji wychodzącej z Chiesa S. Maria del Carmine i niejako otwierającej ten huczny i wesoły festyn jak najbardziej... pogański! Obszedłszy szereg uliczek procesja rozwiązuje się. I odtąd już tylko drzwi świątyni, dzielącej nazwę „Karmel" ze świętą górą w Palestynie, otwarte na oścież pod purpurową zasłoną, przepuszczają do wnętrza grupy wyznawców niosących przed ołtarze razem z zapalonymi wotywnymi świecami swoje prośby, strapienia, podzięki... A także tych z tłumu, co wstępują tylko dla zwyczaju albo tak, z ciekawości.

Trzykrotnie zmienialiśmy trasę dla niemożności przebicia się przez fale maszyn oblegających główne skrzyżowania, gdzie bezradni policjanci, zjawiskowi w swych nieskalanie białych (letnich) mundurach pod bijącym na nich z góry zmiennym światłem, miotali się jak derwisze w obrzędowym tańcu i — także bez widocznego skutku.

Ryki klaksonów zmieszane z równie gwałtownymi niecierpliwymi głosami „autistów" i urywanymi sygnałami gwizdków policyjnych dawały wprawdzie trafną próbkę nowoczesnej muzyki, ale nie zbliżały nas ani o krok do celu.

Straciwszy czasu więcej niż dopuszczała cierpliwość, wyrwawszy się po raz trzeci z kotłowiska, mądrzejsi o tę porcję doświadczenia, zawróciliśmy bezwstydnie i zatoczyliśmy wielki krąg przez jak najdalsze wąskie uliczki i ciasne placyki, aż udało się nam względnie swobodnie dobić do rzeki.

Wjeżdżających pod granatowym wygwieżdżonym niebem na most Garibaldiego — witały nas tysiące elektrycznych lampek rozwieszonych w kunsztowne desenie wokoło filarów mostu i dalej — w głębi bulwaru, zamienionego na jedną wielką salę uciechy. Tu grający światłami i olśniewający śpiewem gigantyczny głośnik radiowy uzupełniał swą wszechobecnością skromnie mrugający pod nim, z prostych liter ułożony napis: FESTA DE NOANTRI.

Zatrzymaliśmy wóz. Wysiedliśmy.

Powiało na nas zapachem gorącym: ognisk ze smolnych szczap, aromatycznych ziół, świeżo parzonej kawy i — soczystą rzeczną wilgocią!

W światłach i cieniach nocnego nieba nad nim, w cieniach i światłach bulwaru obok niego — Tyber, świetlisty i ciemny razem, Tyber głęboki, bez dna i bez widocznego brzegu, wyolbrzymiony, płynie...

Pierwszy to raz na jego wody patrząc pomyślałam:

— Do morza płynie.

Ale płynęło wszystko.

Daliśmy się nieść fali.

Właśnie na zacisznym placu, wciśniętym między stare rude domy ze szczebelkowatymi persjanami, jak i wzdłuż głównej, trochę zmodernizowanej hałaśliwej ulicy, kończono ustawiać stoły z obowiązującymi na każdym ludowym święcie „porcetto" — pieczonymi w całości na rożnach prosiętami nadzianymi mięsnym farszem z nieobojętnym przydatkiem silnie pachnących ziół, jak szałwia, majeranek, tymian, rozmaryn...

Stosy białego, pozbawionego soli pieczywa piętrzyły się już obok.

Niedawny czerwcowy festyn ludowy z okazji wigilii św. Jana Chrzciciela, obchodzony na placu przed Bazyliką Laterańską, zapoczątkował w Rzymie sezon ślimaków. Jest więc tu mnóstwo tego przysmaku w plecionych z łoziny koszach. Lipcowy specjał: „lumachi" podczas Festa de Noantri będą się cieszyły nie mniejszym powodzeniem jak w marcu inny rarytas, słynne „Bigne de S. Giuseppe".

Ale choć już ze wszystkich okolicznych trattorii, pasticerii, osterii, ristorante i barów wystawiono stoły i stoliki na trotuary, choć kelnerzy w białych kitlach uwijają się z flaszkami i półmiskami, choć matki i ciotki, zasiadłszy szeroko po środku licznych członków rodziny (takich w wieku od paru miesięcy czy zaledwie tygodni do lat osiemdziesięciu i więcej), wydobywają z papierów i toreb niewiarygodne ilości domowych zapasów — nie jedzenie i picie jest sprawą główną.

To prawda, że oblężone są kramy z orzeszkami zatopionymi w bursztynowych tafelkach przejrzystego karmelu... że arbuzy, krojone na cienkie, różowe, pestkami inkrustowane plasterki, znikają w takim samym pośpiechu, z jakim rosną na bruku obok sterty ich zielonych, sokiem ociekających łupin... że wykrojone spod kudłatej brunatnej skorupy kokosowych orzechów półksiężyce miąższu, białe i lśniące jak porcelana, rozchwytywane są w mig mimo słonej ceny... że topnieją w spragnionych gardłach całe fury niezliczonych rodzajów lodów i słodkich mrożonek... że leją się kaskady wina, piwa, oranżady, coca-coli i wreszcie nieodzownej czarnej kawy, kawy, kawy pachnącej, jak smoła piekielna gęstej i wrzącej...

Co innego naprawdę nęci, kusi, usidla:

Tu przez dziesięć wieczorów i dziesięć nocy sprzedaje się i kupuje wszystko, co błyszczy, co się jaskrawo barwi, co nosi na sobie chociażby karykaturalny, ale — **odblask piękna.**

Dlatego w oblężeniu są stoiska z naszyjnikami i bransoletkami mogącymi konkurować z błyskotkami mieszkanek Afryki... dlatego szturm do nakryć głowy wielkich jak namioty Beduinów lub maleńkich jak szczypta słomianych zdziebeł czy garstka piórek kolibra. A już przy kramach z zabawkami, tą namiastką dziwności i niespodzianki o baśniowym smaku, całe mrowie ludzkie! Oczywiście najlepiej bawią się dorośli.

Ale oto wkraczamy w świat poddany muzom. Może muzom trochę znużonym i na pewno pozbawionym wysokich zawodowych ambicji, ale po siostrzanemu wyrozumiałym i — co tu kryć! — ludziom po ludzku bliskim.

Tu masz płyty z nagraniami piosenek i kawałków muzycznych do płaczu i do śmiechu, do tańca i do różańca! Możesz wybrać, posłuchać i — nie kupić. Ale przeważnie... kupujesz.

Tam zatrzymują cię jaskrawymi okładkami lub tylko nazwiskiem autora książki. Różne — od popularno-naukowych, skromnych do artystycznych luksusowych albumów, od sensacyjnych kryminałów z dreszczykiem do dzieł klasyków, od komiksów do przepisów kulinarnych i kosmetycznych, od życiorysów gwiazd sportu i filmu do życiorysów polityków i świętych.

Co ileś kroków powtarzają się stoiska z ceramiką.

Dzbany i dzbanki, talerze i lichtarze, kropielniczki i popielniczki. Zatrzęsienie popielniczek! Wszystkie opatrzone sentencjami. Różnymi. Do wyboru. Dla każdego. Na wszelką okazję. Za jedne sto lirów!

Zmęczeni już trochę i głodni, myślimy o powrocie, gdy zatrzymuje nas wielki wieniec z laurowych złoconych liści przewiązany wstęgami o barwach miasta Rzymu.

Końce wstęg leżą na płytach chodnika. Wieniec spoczywa oparty o ścianę kamienicy. Na ścianie nad wieńcem tablica. Czytamy:

„Roma ricorda che in una casa
esistente in questa area
il 20 novembre 1781 nacque
Bartolomeo Tinelli
— er pittor de Transtevere".

Zatybrze ma dobrą pamięć!

Stoimy przez chwilę przed świeżym wieńcem, przed starą tablicą, a potem rozglądamy się wokoło, bo od tego miejsca właśnie w jedną i w drugą stronę ciągną się spiętrzone nad sobą rzędami... obrazy. Dziesiątki, setki malowideł.

Trudno uwierzyć, ale wszystkie kamienice w zasięgu naszego wzroku służą swymi ścianami od ziemi do półpiętra za oparcie płodom malarskiej euforii następców Bartolomea.

Przede wszystkim jednak rzucają się w oczy ramy obrazów. Solidne, ciężkie, rzeźbione, pozłacane. Następnie — same obrazy, nie tyle ich kolory, co tematyka. Czego tam nie ma! Zamki na szczytach skał i zamki nad jeziorami. Kaskady. Grobowce wśród cyprysów i grobowce wśród ruin. Zachody słońca i księżycowe noce. Igrające kotki. Wnętrza buduarów z czułymi parami i czułe pary na sielskich łąkach wśród owieczek i kwiatków. Kwiaty. Dzikie ostępy leśne. Dzika zwierzyna łowna, tak zwany „gruby zwierz". Niedźwiedź w łatwej do odczytania roli króla puszczy. Dzik szarżujący na myśliwych. I — szczyt odważnej fantazji — ten tu w złocony dąb oprawny jeleń na rykowisku. Ale ja-a-a-ki jeleń! Z nim mierzyć mogłoby się tylko arcydzieło nieznanego pędzla, jakie przed paroma latami oglądałam w niemym podziwie na osławionej permanentnej wystawie prac amatorskich w Paryżu. Tam w równie masywnych ramach wyliło bałwanami o skalisty brzeg wzburzone piekielnie morze, a na brzegu dwa lwy, o rozwianych królewskich grzywach i piekielnie krwiożerczych paszczach, starały się przeryczeć ryk bałwanów!...

Na samo wspomnienie dziś jeszcze czuję ówczesną niepohamowaną wesołość, pomieszaną z uczuciem prawdziwej grozy wobec piekielnego twórcy!

Na obrazie przede mną potężny byk sprężony pod potężnym wieńcem rogów malowany jest z mniejszym nakładem fantazji, ale te nad-drzewa otaczające potęgą swych nad-pni tego nad-jelenia, wytęsknione w bezdrzewnej i bezzwierzynnej Kampanii romańskiej, mają swoją... heroiczną i... magnetyczną dla tłumu widzów wymowę. Więc bez zmrużenia powiek spotykamy i resztę malunków, skoro prawie wszystkie znajdują szczery podziw u przechodniów i niejednemu przewracają do góry nogami jego skromny budżet.

Czy się dziwię? Nie, wcale mnie nie dziwi ten brak zrozumienia dla prawdziwej sztuki u ludzi, który tu właśnie we Włoszech, w Rzymie, na każdym kroku ocierają się o arcydzieła. Nie pierwszy raz się z tym spotykam w świecie. Jest, widać, w człowieku pod każdą szerokością geograficzną ogólna potrzeba kiczu — w malarstwie, w rzeźbie, w literaturze, ba, w miłości. I w polityce także.

Niewesołe myśli przerywa, na szczęście, wesoły zgiełk. Oczywiście w swej bezplanowej wędrówce zapomnieliśmy byli o najważniejszym — o popisach artystów pod gwiaździstym niebem!

— Czy chcesz? — pytam mego towarzysza — czy chcesz oglądać połykaczy ognia?

Każdego wieczora przez tych dziesięć wieczorów będzie można przyglądać się czemuś innemu: występom cyrkowym, teatralnym, śpiewaczym, marionetkowym, tanecznym... Program urozmaicony, obfity i w prasie codziennej podawany wszem do wiadomości.

Ale — nim podążymy z tłumem, zatrzymujemy się chwilę przy stoisku, gdzie dwaj mężczyźni, zwinni, zręczni, jak sam bożek Merkury, pobrzękują bilonem i szklanymi kubeczkami.

— Utrwal imię swoje lub swego dziecka na pamiątkę Festa de Noantri!

Krótki zgrzyt maszyny — i... trzymasz w ręku przezroczyste naczyńko z króciutkim matowym napisem.

...Pamiątka. Jeszcze jedna.

Obracasz w palcach kruchy kubek, pusty... Gorąco. Zaczerpnąć by wody źródlanej, zimnej.

Przy małej fontance pochyleni chłopcy wyciągają usta do cienkiej strużki. Śmiech. Ogólna chlapanina. Gorąco. Napić by się czego...

Najprościej napić się kawy. Ba! nigdzie wolnego miejsca. Przez ten czas, gdyśmy krążyli, nastąpiła gremialna inwazja dzieciatych. Młode matki z dziećmi. Młodzi ojcowie z dziećmi. Młode małżeństwa z niemowlętami. Z niemowlętami na rękach. Z niemowlętami na podołku. Z niemowlętami w wózkach. Śpiące, grymaszące, śmiejące się, gaworzące, w milczeniu patrzące wielkimi, zdumionymi oczami — niemowlęta.

A to już noc.

Ale prawda, rzymskie dzieci śpią we dnie, nie w nocy. One jak rośliny i jak owady w lecie nocą nabierają życia. W ciasnych izbach niehigienicznych starych domów, w ciasnych pomieszczeniach higienicznych domów nowych jednako brak powietrza, gorąco. Na ulicy swobodniej oddychają płuca, na ulicy wiatr owiewa ciało.

— — — — — — — —

Wiatr.

Rzeźwy wiatr.

No tak, rzeźwy. Bo przecież to, o czym w tej chwili mówię, było tydzień temu.

I zaraz po tej zatybrzańskiej nocy przyszła dzisiejsza Kanikuła.

...Trzydzieści stopni w głębi zacienionego persjanami mieszkania. Do pięćdziesięciu na tarasie w słońcu.

Na tarasie...

Z zawieszonego na wysokości czterech pięter zielonego zacisza, grającego wszystkimi kolorami — zostały w kamiennej pustce poszczególne, jakby osamotnione, grupy roślin skulonych w sobie, odbarwionych i najwyraźniej stwardniałych. Olbrzymie, silnie pachnące, pełne goździki są już tylko zbytecznym chwastem. Opadły pojedynczymi płatkami róże z różanych krza-

(Dokończenie na str. 5)

Jarosław Łukawski — Kompozycja (olej)
Z wystawy retrospektywnej w Lublinie

(Ciąg dalszy ze str. 1)

wyszarpywany, rzekłbym, z etiudy na siłę,
jakbyś go chciał uwolnić z więzów pięciolinii...

Pani

Ale emocja całą ogarnęła salę
i wszystkie serca sprzęgła w jeden rytm etiudy.
Ach, to było wspaniałe!

Pan

Emocji władanie,
owszem, lecz na widowni, nie przy fortepianie.
O, zawsze to powtarzam.

(Miękko, z uśmiechem)

A, widać, za mało.

Marek

Bardzo, bardzo przepraszam...

Pan

Co się panu stało?

Marek

Profesorze!... Dziś jestem pełen niepokojów,
sprzecznych uczuć, zwątpienia... Jakże wytłumaczę?
Trzeba sięgnąć pamięcią i wydobyć na jaw
przyczyny tak odległe, że aż strach mnie bierze,
czy nie są pustym dźwiękiem, urojeniem, widmem,
zbyt żywo pulsującym w mojej wyobraźni.
Jakże to wytłumaczę dzisiaj w dniu triumfu,
oklasków, kwiatów, prasy, radia, telewizji,
w dniu, gdy po ciężkiej pracy i nerwów napięciu,
po ciężkiej pracy pana i naszej — nareszcie
można serce otworzyć radości, zabawie...

Pan

Trzeba... trzeba, mój chłopcze, byś mi to powiedział.

Marek

Tak więc... Niech pan daruje, panie profesorze,
że opowieść swą zacznę od spraw oczywistych,
lecz w prymitywie stwierdzeń miary nie największej
jest czasem ziarno — z ziarna wyrastają lasy.
Muzyka chyba zawsze, jest w każdym człowieku,
przyczajona, bezgłośna — choć zdarzyć się może
ktoś ją słyszał wielekroć, a nic o tym nie wie.
Ona zawsze odzywa się w chwilach marzenia,
buntu, walki, miłości, a chyba... i śmierci.
Zawsze z człowiekiem żyje strzęp jakiejś melodii,
lub naiwnej piosenki z głupimi słowami.
Odezwie się melodia — ożywają sceny,
nieraz błahe, nieważne, a nieraz tragiczne;
twarze się uśmiechają ludzi, co odeszli
ze świata i z pamięci; kwiaty, których nie ma
przywołują zapachem; drogi — już przebyte
w deszczu, w słońcu, lub w błocie — czekają na próżno,
by je znowu przemierzyć...

Pan

To prawda, mój chłopcze...

Marek

...Był rok czterdziesty czwarty... Warszawa...
Warszawa...
Nam strzelać nie kazano... Już na barykadzie
zabrakło amunicji... Rozrywane co dnia
bombami, artylerią, miotaczami ognia
płonęło moje miasto... W ulicę z ulicy
spiętrzoną falą gruzy płynęły jak lawa...
Dziś, gdy oczy przymykam — słyszę: dziecko krzyczy,
widzę, jak obok krzyża urwanego z wieży
rozkrzyżowany chłopak z raną w piersiach leży...
Buchnął płomień w katedrę u Świętego Jana,
rwie sklepienie, jak czaszkę, płacze na organach,
a wieże, rozżarzone skręcają się w męce,
niby dwie próżno w niebo wyciągnięte ręce —
jeszcze chwilę tak trwają — a nadzieja z niemi —
zwątpiły i bezwładnie klęknęły na ziemi.

Ile razy w pamięci obracam te dzieje
niby lampę magiczną — widzę starca oczy,
utkwione w pustym niebie z nieludzką nadzieją
i ktoś ręce wyciąga, wzywając pomocy.
I widzę mych kolegów... Nikły świt się kładzie
na gorących kamieniach — pożar je rozpalił —
a oni, przyczajeni na tej barykadzie...
Już kamienie ostygły — oni tak zostali.

Był rozkaz kanałami odejść do śródmieścia.
Trzymaliśmy się razem — Krystyna, ja, Komar
i zawsze nieodstępny mój przyjaciel Kuba.
Pluton dostał kwaterę na ulicy Hożej.
Mieszkaliśmy na krzesłach w sali kina „Mewa".
Małe, liryczne kino — nieraz jako sztubak,
przeżywałem tam romans świata srebrnych cieniów.
Któregoś dnia poderwał nas na nogi alarm.
Czołgi atakowały od Alej... Biegliśmy
przejściami, podwórkami, piwnicami... Nagle
z jakiegoś sklepu skokiem na ulicę... Patrzę —
rozkraczony, stalowy byk przede mną pruje
ogniem z dział, kulomiotów. Rzucam granat... Czuję,
że ktoś mnie lekko, miękko, pociągnął za ramię
i wszystko się oddalać zaczyna... Oddala,
cichnie... I jeszcze tylko przyjaciela oczy
pochylone nade mną i przepaść... Zemdlałem.

(Z uśmiechem)

To nie była śmiertelna rana, profesorze...

Pan

Tak przypuszczam, mój chłopcze.

Pani

Niech pan mówi dalej.

Marek

Czołg spłonął. A mnie Kuba i Krystyna nieśli
na punkt opatrunkowy. A potem już dalej
sam szedłem, choć oparty o ramię Krystyny.
Wtedy właśnie na murze karteczkę ujrzałem —
taką... wielkości dłoni. A na niej te słowa:
„Dziś koncert Chopinowski — Hoża — Kino „Mewa"...
U nas w domu, Krystyno...

Krystyna

U nas w domu...

Marek

Otóż...
Jeszcze przed nami dzień był, a my już bez siły.
W nocy — patrol, a potem — alarm, atak, walka,
co tam jeszcze, Krystyno?

Krystyna

Jeszcze strach o ciebie.

Marek

Tak... Byliśmy strudzeni, więc na krzesłach kina
w sen twardy, w sen kamienny zapadł cały pluton.
Spaliśmy nieświadomi ciężkiego nalotu
i pracy artylerii, która bohatersko
prula domy i ludzi tej właśnie dzielnicy.
Kiedy pierwsze odgłosy do mózgu się wdarły,
słyszę...

(Wybuch pocisku)

i widzę, jak przed fortepianem
młody żołnierz w podartej kurtce, zarośnięty
i brudny, jak my wszyscy, stoi nieruchomy.
Automat na ramieniu matowo połyska,
a on świecę podnosi wysoko, by nutom
na pulpicie leżącym posłać okruch blasku.
(Charkot przelatującego pocisku — daleki wybuch. Cisza. Terkot maszynowego karabinu. Włączyły się oklaski widowni. Oklaski intensywnieją i wychodzą na plan pierwszy.)

Zapowiadający: *(spokojnie, bez emocji)*

Proszę państwa! Rozpoczynając koncert chopinowski, serdecznie wśród nas witamy znanego kompozytora i pianistę Jana Dekierta...

(Oklaski przerywają zapowiedź.)

Odegrana będzie Etiuda C moll... Proszę państwa! Dla nas dzisiaj w oblężonej i walczącej Warszawie utwór ten ma szczególną wymowę... Etiudę C moll napisał dwudziestoletni naówczas Fryderyk Chopin w Stuttgarcie podczas bezsennej pełnej udręk nocy, na wieść o tym, że oblężona powstańcza Warszawa roku 1831 broni się... i że nie ma nadziei i nie ma ratunku...

(Chrobot kinowych krzeseł. Ktoś odwraca się na drugi bok.)

Głosy

Css... Cicho tam!

Zapowiadający

...w hotelowym pokoju, wśród ciszy stuttgarckiej

Warszawianka

nocy, zbuntowany i niespokojny Chopin, na próżno nadsłuchuje głosów z dalekiej ojczyzny. Wie tylko, że walka trwa. Pisze w notatniku: „a ja tu bezbronny, a ja tu gołymi rękami na fortepianie rozpaczam..." Tak powstała etiuda C moll..,

(Po kilku sekundach ciszy wchodzi na plan pierwszy Etiuda C moll — Od tej chwili etiuda towarzyszy tej partii słuchowiska na pierwszym, drugim, lub trzecim planie. Około czterdziestego taktu trzask krzeseł. Muzyka odpływa na drugi plan.)

Kuba

(zaspany, zły)

A cóż to znowu za jubel?...

Głos I

Cicho!

Głos II

Cicho!

Głos III

Chopin!

Kuba

Do diabła z muzykami! Chcę spać! I mam prawo!

Krystyna

Kuba na miłość boską, cicho!

Kuba

(z rezygnacją)

Niech to diabli!

(Chrobot kinowych krzeseł. Spokój. Muzyka się przybliża. Muzyka urwana w pół taktu, ustępuje miejsca serii z automatu. Muzyka nagle przerywa serię. Wybuch. Sekunda ciszy. Muzyka gwałtownie od pół taktu, a następnie stabilizuje się na drugim planie.)

Marek

Krystyno...

Krystyna

Jestem tutaj.

Marek

Krystyno, nie mogę...
duszno mi... Brak powietrza...

Krystyna

Nie szarp się. Spokojnie...
Rozepnę ci kołnierzyk.

Marek

I ta ręka... łupie.
Zdaje mi się, że spuchła.

Krystyna

Musisz być cierpliwy.
Siedź spokojnie. Wieczorem zmienią opatrunek.

(Pauza — muzyka)

Marek

Sam nie wiem, czego więcej mi szkoda, Krystyno.
Czy tego, że już teraz nie będę mógł strzelać,
czy tego, że już nigdy, nigdy grać nie będę...

Krystyna

Będziesz grał. Gadasz głupstwa... Strzelać będą inni.

Marek

Grać także inni będą nie gorzej odemnie.
Ale szkoda...

Kuba

Na szepty im się znów zebrało.

Krystyna

Miałeś spać.

Kuba

Moja sprawa — miałem, czy nie miałem.

Krystyna

Kuba...

Kuba

Muzyki słucham.

Głos

Cicho tam!

(Pauza — muzyka)

Marek

Nie mogę...
Nie... Nie mogę oddychać. Pomóż mi, Krystyno.

Krystyna

Obejmij mnie za szyję... Wyjdziemy... Powoli...

(Trzask krzeseł)

Kuba, pomóż! Musimy wynieść Marka... Prędzej!

(Trzask krzeseł)

Głos

Chłopcy na miłość boską, ciszej tam!

Krystyna

Powoli...

(Muzyka głośniej. Otwarcie i zamknięcie drzwi. Muzyka dalej — pogłos walczącego miasta bliżej.)

Kuba

Tu... na murku... tak... beret podłóż mu pod głowę.
No, jak, hrabio?... Nie tęgo? Trza popuścić pasa.
Zacisnąłeś na biodrach, jak panna. Rozepnę...
O, rany! Masz granaty?!

Marek

Nie rusz! Mówię, nie rusz!

Kuba

Nie ruszam... Tyle krzyku.

Marek

Wracajcie na koncert.

Krystyna

Ależ, Marku uspokój się...

Kuba

Co mi tam koncert...
Cały czas tę etiudę mam w gardle, jak kamień.
On jeszcze dzisiaj krzyczy do nas ze Stuttgartu,
dzisiaj jeszcze się boi, że go nie słyszymy.
(Ostro, nerwowo, jak wołanie o pomoc, kilka razy — fragment motywu, od połowy dziesiątego do połowy jedenastego taktu w wiolinie)
Tatam ta tam!
Tatam ta tam!
Tatam ta tam — tatam ta ta ta... *do połowy dwunastego taktu)*
Ech, pieski i cholerny jest dla nas świat cały...
Jeden gdzieś tam bezbronny grzmi na fortepianie,
a drugi tu z patykiem wyłazi na czołgi...

Krystyna

Kuba...

Kuba

Czekaj, królowo... Tego dnia był rozkaz...
Tego dnia do oddziału wychodziłem z domu
Wiadomo, każde słowo nieważne jest wtedy,
więc pakowałem plecak i w kółko... i w kółko:
tatam ta tam!
tatam ta tam!
tatam ta tam — ta tam ta ta ta...
a matka udawała w kuchni, że nie płacze
i że o niczym nie wie. Jej także muzyka,
a może i ta sama, serce rozsadzała...

Marek

Kuba... Usiądź tu przy mnie... Daj mi rękę, Kuba...
U nas w domu — gdy ciemność nadgryzała duszę,
kiedy się już zdawało, że cały świat w mroku
i że nie będzie końca ludzkiemu cierpieniu —
matka mówiła: „Teraz zapalimy światła"
i grała nam Chopina, aż muzyka weszła
do snu — Ze snu jest bliżej do odmiany losów.
Lipiec... czterdziesty czwarty... Nie mogę zapomnieć...
Był świt... Jeszcze w szarości srebrnej wszystkie domy.
Godzina policyjna zaledwie minęła,
gdy wracałem do domu. Jeszcze miałem w oczach
wysoki płomień, w uszach płakał zgrzyt żelaza
pociągu z amunicją. Przed domem — samochód...
W oknie — lampa... Wiadomo było, co to znaczy.
Więc skoczyłem za budkę z gazetami... Czekam.
Wyszli. Było ich czterech... I ojciec... I widzę —
jest taki jakiś mały, zgarbiony jak nigdy.
I oto nagle nasze okno się otwiera,
a z okna, jak wiatr rzeźki, jak słoneczny promień,
jak bukiet róż, jak sztandar, jak serca wołanie,
etiuda... Tak, etiuda krzyczy na świat cały
Tatam ta tam!

(Wchodzi Etiuda na 10 sekund)

Matka „światła zapala", a on patrzy w górę
i prostuje się! Chłopcze, pewnie cień uśmiechu
miał na ustach, bo jeden z gestapowców skoczył:
„Już ja ci, świnio, zagram! Zagram ci Chopina!
Będziesz śpiewał, jak zagram!" — I pchnął go do auta.
a sam stanął, przez chwilę patrzy w nasze okna
i na dłoni rewolwer podrzuca w milczeniu.
O, ileż nienawiści było na tej twarzy:
Zdecydował się. Idzie ku bramie, gdy z auta:
„Siadajże, Hans, do diabła! Ona nie ucieknie...
Nie ucieknie ci, mówię..." Wrócił. Pojechali.
Miałem pod płaszczem Visa... Jeszcze dziś na piersiach
czuję ciężar żelaza — tej maszyny, która
milczeć musiała, chociaż palec drżał na cynglu.
Matka przy fortepianie jeszcze siedzi drżąca,
białe czoło oparła o biel klawiatury...

Matka: Jesteś, Marku...
Marek: Jestem, mamo.
Matka: Musisz odejść...
Marek: Muszę, mamo.
Matka: To już chyba koniec...
Marek: O, nie, mamo.

(Pauza)

Marek: Ojciec słyszał etiudę...
Matka: Tak.
Marek: Uśmiechnął się i wyprostował...
Matka: ...tak... tak...
Marek: I ja słyszałem, mamo...

KANIKUŁA

(Dokończenie ze str. 3)

ków i liście pożółkłe opadły, odkrywając zgrubiałe, sztywne łodygi, pogrubione, jeszcze i jeszcze usztywnione przez kolce martwe jak kość. Między geraniami pogasły soczyste szkarłatne płomyki kwiatuszków zebranych w obfite bukiety. Na ich miejscach sterczą lub wiszą żółte źdźbła podobne do źdźbeł wymłóconej słomy, a długo opierające się upałowi ciemnozielone listki wyglądają jak brunatne skrawki pakowego papieru. Nawet szeleszczą podobnie, gdy w nich przebierać palcami... Cofam rękę: nie zda się na nic usuwać to, co martwe.

Martwieje wszystko.

Szerokie, jędrne, piękne liście i mięsiste łodygi kalij zwiotczały i pobladły, zwisłe zamiatają rozprażone kamienne płyty dokoła kamiennych waz, których żadna woda dziś nie ochłodzi, tak temperatura wody podnosi się w zetknięciu z temperaturą rozpalonej ziemi w rozpalonym marmurze.

Może rzeczywiście rozsądniej jest nie podlewać drzewek pomarańczowych w ich kubłach? Portier, stary Giuseppe, ma wieloletnie doświadczenie w swym zawodzie sezonowego ogrodnika. Pobłażliwie odnosi się do moich zmartwień.

Nic go nie wyprowadza z dobrodusznego spokoju. Ani to, że od paru dni wszystkie co soczystsze pędy roślin pokryły się całymi koloniami wstrętnych żółtych mszyc, jak gdyby wylęgłych wprost z żółtego lepkiego upału... Ani że wszystkie szpary i pęknięcia w kruszącym się ze starości murze wyrzucają na taras kolumny sprawnie maszerujących mrówek, niewiarygodnie maleńkich i ruchliwych.

Rozsądnie nie przekraczając zwiewnej bariery białego proszku, jaki rozsypałam wzdłuż wszystkich progów prowadzących z tarasu do mieszkania, lilipucie owadki krążą po gałązkach przekwitających w przyśpieszonym tempie oleandrów. Dręczone pragnieniem wgryzają się w ostatnie pączki i w kwiaty, ssąc z nich, jak i z mszyc, skąpy słodki sok. Zresztą nie poprzestają na kwiatach. Nawet na mszycach nie poprzestają.

Ale na nic się nie zda opędzać się od nich. Nieważkie, niemal niewidoczne, nieznacznie nakłuwają skórę i zostaje na skórze po zetknięciu z nimi ślad niezauważalny, lecz długotrwały i dokuczliwy.

Jedyny prawdziwy postrach tych natrętów, dotychczasowa mieszkanka tarasu, zwinna rdzawopopielata jaszczurka — przestała się pokazywać.

Dotąd tylko znikała — teraz po prostu nie istnieje już. Szkoda. Lubiliśmy ją bardzo. I nie za jej łowność. Za cienki rysunek błyskawicznych ruchów, za zdumiewający ładunek życia w ciałku, wąziutkim jak ostrze sprężynowego noża.

...Uf! Doprawdy, nawet stal może stopić ta Kanikuła.

— — — — — — — —

Zimny prysznic, letnia kąpiel igliwiowa, zimna mocna herbata, woda z lodem i z cytryną, list od wydawcy z Warszawy — niczego nie mogę przeciwstawić Kanikule.

— — — — — — — —

Spróbujmy spaceru pod starymi platanami naszej Viale, których na szczęście nie wycięto przy rozbudowie miasta na niszczonych leśnych i parkowych terenach. Ktoś tu kiedyś zadał sobie trud opracowania całego podręcznika na temat: jak zwiedzać Rzym obchodząc go tylko po zacienionych ulicach. Dziełko ma paręset stronic.

Wagę takiego przewodnika rozumie się dopiero w upał taki, jak dzisiejszy.

— — — — — — — —

Drugą już dobę wieje wiatr. Ale nie będzie z tej mąki chleba! Wiatr wieje od strony Afryki. Jest gorący jak biblijne piekło.

W koronach drzew rosnących przed naszym domem szaleją cykady. Trzeszczą jak ziarna zboża w pożarze! A że są ich całe setki — hałas ogłuszający.

— — — — — — — —

Wiatr zmienił się na wilgotny, morski. Napędził chmur. I co? jeszcze trudniej oddychać pod niską, szarą, szczelną pokrywą.

Przyniesiono mi elektryczny wiatrak. Warczy i wiruje. Czując stawanie dębem włosów na głowie i zamianę sukni na wydęty, łopoczący żagiel jesteś skłonna do słów uznania dla maszynki.

Nic się jednak przez to nie zmienia.

Więc wreszcie chwytasz się zwykłego podstępu: wymyślasz sobie od leniwców i postanawiasz zmusić się do pracy, mimo że wiesz, iż masz mózg w stanie rozbełtanego kwaśnego mleka podeszłego serwatką.

Siadasz zdecydowanie przy stole, nakopiłaś książek po obu stronach i — udajesz, że piszesz, a co i raz zerkasz na niebo przez okiennicę. Może przecież kapnie z którejś chmury?

I rzeczywiście — kapie!

Ale to oczywiste kpiny. Cyknęło jak z przelatującego ptaka.

Każda kropla wody została natychmiast odrzucona niebu przez rozpaloną ziemię jako para. Ot, i masz dokoła potencjalną łaźnię.

Aspiryna. Czarna kawa.

Skutek? Do przewidzenia: jak najgorszy!

Nie udało się z nocą — urwijmy trochę ranka. Słońce dopiero wstaje. Przed nami dwie, trzy godziny życia zbliżonego do ludzkiego.

Wieki całe nie zaglądałam do prasy. Odrobię dziś to zaniedbanie. Będzie mi się zdawało, że nie marnuję czasu. Może rzeczywiście skorzystam?... „człowiek uczy się do grobu" — powiedziała kiedyś moja wsiowa sąsiadka, gdy z blaszanej tuby gramofonu, ofiarowanego jej na osiemdziesiątą rocznicę urodzin, zrobiła sobie... lejek do miodu podbieranego przez nią w jej pasiece...

Dzienniki, dzienniki. Tygodniki. Miesięcznik. Dużo papieru, dużo ilustracji, zwracające uwagę tytuły. Poza trochą polityki, poza anegdotami z życia gwiazd i byłych lub aktualnych dworów królewskich, wszystko, czego dusza zapragnie z obfitej, nigdy nie dającej się wyczerpać dziedziny przestępstw.

Nie, trzeba mieć znacznie więcej świeżości, niż ja mam, aby temu podołać!

A Kanikuła trwa.

Zaczęły się po magazynach wyprzedaże.

Same okazje!

Grzech nie skorzystać!

Lecz skoro nie mam istotnej potrzeby?...

...Tak, ale to dobry powód do zanurzenia się w chłodne czeluście szaf i półek, w otchłanie wirujące nie kończącymi się falami jedwabi, bawełny, wełny, płócien, nylonu, stilonu, trottonu i w ogóle modononsensonu.

Dziesiątki, setki kobiet spoconych, czerwonych, rozgorączkowanych krążą, wirują, płyną poprzez szklane kołowroty, przez witryny, przez ściany, przez ulice, przez place, przez mury miejskie, przez podmiejskie ogrody, przez pola i winnice, przez sady oliwne i figowe, przez góry i doliny, przez obłoki i przez pustkę za obłokami...

Płynę z nimi w jedwabiu, wełnie, bawełnie, w nylonie, w szeleście cykad, w szumie pierwszych kropel pierwszego po suszy deszczu...

... Rozpływam się...

Koniec Kanikule!

Dzwonek u drzwi, donośny, krótki.

W drzwiach stoi młody fattorini. Podaje z uśmiechem małą kartkę brystolu. Biorę bilecik z rąk uśmiechniętego listonosza i czytam:

„Augurano Buon Ferragosto".

Oto więc dorocznym letnim zwyczajem złożył mi poczciarz życzenia dobrego wyjazdu na letni odpoczynek.

Za takie życzenie czy dosyć ofiarować sto lirów? — rozumie się z nieodzownym dodatkiem paczki Chesterfieldów.

A więc — proszę. I także Buon Ferragosto per lei, signor Fattorini.

Dzwonek! Przed drzwiami, z wesołą miną na przybrudzonej twarzy „mondezario" — śmieciarz. Podaje mi z uśmiechem... — Augurano — mówię za niego i jednocześnie sięgam do torebki.

Po schodach idzie na górę, słyszę, ktoś jeszcze. Brązowi się przez żelazną poręcz habit brata franciszkanina, jałmużnika:

— Buon...

Rzym lipiec - sierpień.

Ewa Szelburg-Zarembina

JAROSŁAW SEIFERT

Ballada

Przełożył

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

Zabił, nie zabił,
nie pytajcie nigdy,
ludzie kochają,
ludzie są w miłości
zdolni do krzywdy.

Od ściany do ściany
trzy tylko kroki,
gwiazd trochę
w sieci gwiazd wplątanych
i księżyc wysoki.

Księżyc był świadkiem,
widział w niemocy
krew i cień zbrodnia
o północy.

Zabił, nie zabił,
splamił krwią dłonie?
Księżyc, co rośnie,
odpowie,
bo martwi milczą
i śpią bezgłośnie.

*

W objęciach nocy
latarnia krzywa,
morderca w pętach
księżyca-detektywa.

Księżyca, co miłość
w noc sączy tak smutnie,
co na tle okna
podobny lutni.

Księżyca, który
widział cios zdradny,
który jad blasku
zlewa w tojady,
od których się ginie.

*

Pełnia;
jak na ekranie w kinie
sunął jej obraz
skryty w muślinie
i milczał.

(Pauza)

Podniosła się, bez słowa wyszła i po chwili
zawinięte w koszulę pół bochenka chleba
i słoik z powidłami dała mi na drogę.

(Pauza)

Słuchaj, Kuba... Już dzisiaj nie ma tamtych okien,
światło matczynej ręki już tylko w marzeniu
i nie ma stuttgarckiego fortepianu śladów
i bezbronnych rąk chłopca, który swą rozpaczą
rozkołysał przestrzenie, dzielące od kraju,
aż powietrze nasiąkło muzyką etiudy.
Jak krew pulsuje w polskich drzewach, kwiatach, zbożach
i w ludziach, którzy słysząc brzęk źródła, lub broni,
czujnie się obracają ku stuttgarckiej nocy.

(Ostry gwizdek)

Komar

Zbiórka plutonu! Alarm!

(Ktoś, dalej od mikrofonu, powtarza: „Zbiórka plutonu! Alarm!" Drzwi kina otwierają się z łoskotem. Razem z krokami nadbiegających, przybliża się muzyka etiudy)

Komar

Wszyscy?

Kuba

Marek...

Komar *(przerywa)*

Tak, wiem... Krystyna z Markiem — reszta za mną!
Biegiem!

(Tupot biegnących)

Marek

Kuba! Kuba!

Kuba *(biegiem wraca)*

Mów prędzej...

Marek

Weź granaty. Weź moje granaty...

Kuba

Coś ty, Marek?... Ach, cześć wam, panowie magnaci!
Bywaj... *(z oddalenia)* bywajcie...!

(Jednocześnie z oddalającymi się krokami Kuby, zbliżają się do mikrofonu ostatnie akordy etiudy. 10 sekund ciszy. Oklaski. Gwar wesołych głosów: „Mało! Mało! Bis!" Przez chwilę jakaś grupa skanduje „Ma-ło ma-ło ma-ło" Oklaski rozsypują się nierytmicznie. Orkiestra jazzowa wznawia rock-and-rolla. Muzyka oddala się).

Marek

Już kończę... Jeszcze tylko chciałbym, profesorze,
słów kilka o powrocie... Widziałem na Pradze
nad rozdeptanym śniegiem głośnik na latarni.
Chrypiał blaszanym głosem akordy etiudy,
a ludzie z migotaniem pożarów na twarzy,
po stokroć konający, a dziś zmartwychwstali,
wśród błota, gruzu, ruin, potrzaskanych okien,
zsiniałymi od mrozu wdychali ustami
z blaszanego głośnika powietrze nadziei...
I właśnie dzisiaj w sali koncertowej nagle
ujrzałem ich oczami wyobraźni, kiedy
już znowu w swoich domach i w rodzinnym kręgu
zapatrzeni w odbiornik, skurczem serca mierzą
każdy dźwięk swej miłości, wiary, niepokoju.
Okna domów łagodnym znowu światłem złote
i etiuda przez okna płynie na ulicę,
a ktoś w tłumie ulicznym zabłąkany słucha
i może znajdzie drogę do własnego domu...
Dziś warszawską etiudą „zapalałem światła" —
wołając do nich wszystkich, że nigdy już więcej —
że już nigdy upadku... nigdy upodlenia...
nigdy ciemności ducha...
To wszystko... Przepraszam...

(Pauza)

Pani

Jestem bardzo wzruszona...

Pan

Idziesz w świat, mój chłopcze.
Już nie potrzebne będą rady profesora.
Rozumiem cię, a może tak mi się wydaje,
Otóż — gdy w szopenowskich pięcioliniach naród
swego ducha odczytał i ujrzał swe dzieje —
ty także je odczytuj, zgodnie z serca głosem.
Lecz umiar i dokładność!

(Otwarto drzwi. Rock-and-roll mocniej, Gwar młodych głosów.)

Głos kobiecy pierwszy

Tutaj... tutaj... tutaj! Jest tutaj!

Głos męski pierwszy

No, proszę...

Głos kobiecy drugi

Nous vous cherchons partout.

Głos kobiecy pierwszy

Szukamy cię wszędzie.

Głos męski drugi

A gdież wy propadali?

Głos kobiecy pierwszy

Chodź zatańczyć z nami.

Głos męski trzeci

We must take a drink, boy.

Głos kobiecy trzeci

Prego camerade.

Głos kobiecy drugi

Vous ne dansez pas?

Krystyna

On bardzo zmęczony.

Głos męski drugi

„Zmenczony"? Wot ułowka!

Głos męski trzeci

My dear, take it easy...

Głos kobiecy pierwszy

Chodź zatańczyć z nami.

Krystyno... Marku... Chodźcie. Profesor pozwoli,
że na chwilę...

Pan

Ach, proszę.

Marek

No, dobrze... Więc chodźmy.

Głosy

Brawo! Brawo!

(Muzyka — tupot tańczących)

Pan *(Po chwili)*

Tańczą...

Pani

To przecież młodzi...

Pan

Lecz zdumiewające,
jak bardzo się odmienia obraz... Brak ogniwa...
Brak mi ogniwa, które...

(Dalsze słowa profesora giną w dźwiękach jazzu. Wyciszenie).

Aleksander Maliszewski

CZŁOWIEK jest N A G I*)

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

— Nastaw na piątą!

Zawsze uważałem, że to za wcześnie i chciałem wykładać moje racje, ale matka nie dopuszczała do dyskusji:

— Co ty tam wiesz — gadała — a wstać, a ogień pod blachą rozpalić, a was obudzić, przypilnować, śniadanie zrobić, do szkoły wyprawić... Nastaw, nastaw!

Brałem budzik i posłusznie nastawiałem na piątą rano. Budzik na oko wyglądał opłakanie. Gruchot weteran. Ale ja widziałem, że to sławny bohater historii: przeżył z nami pierwszą wojną światową, rewolucję październikową, gdyśmy byli w Rosji w Tambowie, i z nami też powrócił do Polski jako repatriant. Teraz budził rodzinę co rano. Wiele lat, wiele wydarzeń! A budzik swoje: cyka. Krztusi się jak astmatyk i dzwoni z trudem, ale cierpliwie, wytrwale. Czasem ma kaprysy: na bok go połóż, na wznak, podeprzyj czymkolwiek, bo inaczej zatnie się, stanie.

Przed piąta sen już miałem wyczulony. Pod szkołę, a potem pod ten budzik. Woźny dzwonił (wtedy jeszcze elektrycznych dzwonków nie było), metaliczny brzęk nabrzmiewał mu w ręku, pękał i rozsypywał się przenikliwie. A potem wąsy pana Jana zmieniały się we wskazówki budzika. Sterczały nastroszone, a dla mnie groźne: wstawaj, leniu, wstawaj!

Wiedziałem, że jeszcze trochę czasu dla siebie urwę. Matka teraz ubiera się, rozpala pod blachą ogień, za chwilę skieruje się do mego łóżka. Za chwilę, tymczasem leżę półsennie, chciwie czuję pod kołdrą przyjazne ciepło nocy. Zanim pierzchnie, uleci, czepiam się snu i mocno wtulam łeb w poduszkę. Ale gdzieś we mnie warczy budzik, przesuwa się wskazówka i prawie co do sekundy wyczuwam moment, kiedy matka podejdzie i powie:

— Wstawaj! Wstawaj!

Ale ja już sam wiem, że dłużej nie można. Wstaję nie zwlekając. Wyrażając się mądrze, mój mechanizm życia działał dokładnie tam samo, jak ów budzik.

Jakby dziesięć budzików ktoś we mnie nakręcał, budziłem się co do sekundy w więzieniu. Sen miałem zawsze jak najbardziej „wolnościowy", pełen, jak powiadają poeci, urody życia. Z Gieniusią, która w czasach studenckich była jeszcze moją narzeczoną, jechałem „Bajką" po Wiśle albo „samowarkiem" udawałem się do Anina. Las, zacisznie, ustronnie i, kiedy Gieniusia chce mnie pocałować w czoło, wachtman uderza kluczami w drzwi:

— Auf!

W celi zapalało się światło. Ze snu, z niedokończonego marzenia wchodziłem brutalnie w rzeczywistość, w więzienny dzień.

Scena miłości ciągle się powtarzała. Jak znakomita premiera nie schodziła z programu nocy. Ale po pewnym czasie przed piątą sen rozszczepiał się, rozwiewał i już Gieniusia nie zdążyła mnie pocałować. Byłem jak budzik „nastawiony" na piątą. Wyrywałem się z miłujących rąk, bo czułem, że to już, że zaraz... wachtman wstępuje na schody, ciężkie kroki zbliżają się, uderzenie w drzwi:

— Auf!

W Gusen stałem się jeszcze dokładniejszym podobieństwem budzika i to naszego, domowego. Byłem jak on gruchot, ale precyzyjnie „nastawiony" na czas. Wyczuwałem go namacalnie: ostrą krawędź między snem a jawą. I kiedy rozlegał się obozowy gong, natychmiast otwierałem oczy, gwałtownie unosiłem się i schodziłem z pryczy. Spałem na pierwszym piętrze. Ręką chwytałem skraj pryczy, prawą nogę opierałem o dolne łóżko, a lewą stawiałem na podłodze. I byłem gotów: numer, własność obozu, siła produkcyjna. Noc została za mną, wchodziłem w realny dzień, gdzie wszystko było przeraźliwie konkretne, szczelnie rzeczywiste... Nieostrożny krok, słowo, czyn — śmierć.

Konkretność życia była tak wielka, że w dzień opuszczała mnie nawet wyobraźnia. Bezpłodna w dzień, nabierała siły, intensywności dopiero w nocy.

Ale nawet wtedy we śnie wyobraźnia moja jakby dostosowała się do obozu. Była „nastawiona" na obóz. W więzieniu miałem „sny wolnościowe" Tu w Gusen nawet sny przytłoczył koszmar obozu. To było chyba najgorsze. Nawet we śnie chodziłem w pasiakach, spadałem w dół i jako muzułman wylizywałem kotły albo szedłem do góry, na prominenta, lecz nigdy wyżej. Nigdy nie śniło mi się na przykład, że jestem esesmanem albo Lagerführerem. Nie, takie sny były dla więźnia niedozwolone. I słusznie. Jako Lagerführer rozpuściłbym obóz, albo nie: więźniów bym zwolnił, a esesmanów do baraków wsadził. Nic dziwnego, że takie sny były „streng verboten".

Ale to przerażające — dziś o tym myślę — jak doszczętnie obóz opanowywał i „odczłowieczał" więźnia.

Dziś o tym myślę. Wtedy nie analizowałem tej sprawy tak głęboko. Poranny gong zmuszał mnie do życia, które w pełni absorbowało uwagę, czujność, wysiłoną inteligencję i zwierzęcy instynkt tylko w jednym kierunku: nie podpaść! Nie podpaść, to znaczy żyć wśród tysiąca wiadomych i potencjalnych, ukrytych w systemie obozu, niebezpieczeństw.

Dzień. Drobiazgi zaczynają nabierać ogromnej wagi i znaczenia. Każda rzecz ma dwoisty sens: sprzyja więźniowi albo go zabija. Od czego to zależy? Od samego człowieka, jego sprytu i chyba od metafizyki. Splot okoliczności, przypadek, szczęście i fatalizm odgrywały w obozie i zbawienną, i złowrogą rolę. Jak komu pisane — mówili więźniowie.

A więc gong... Trzeba od razu zbudzić się. Schodząc z pryczy czujnie, ostrożnie poruszać się wśród ciał, rąk i nóg, wśród ruchów innych więźniów, często tylko wyczuwanych. Oprę prawą stopę za silnie o dolne łóżko — awantura. A tu już „górny" złazi:

— Czego się grajdolisz, barania głowo!

Trzeba unikać konfliktów, zadrażnień, bo zajście „ujawnia" więźnia, ściągnie uwagę sztubowego. Podejdzie, przyleje gumą.

Póki „górni" i „dolni" ścielą, ja biegnę do ustępu i umywalni. Biegną wszyscy, żeby na czasie zyskać, pierwszemu do wody się dopchać. Bez względu na pogodę (mróz, lato), tylko w koszuli. Tak czy siak: ziąb!

— Nie krzywduj sobie, nie krzywduj! — strofowali mnie starzy — dawniej to byś biegał nago do pasa i mokry na sztubę wracał, mokry, na dowód, że się umyłeś!

Umywalnia ma podłogę betonową, pod dachem. Rura wodociągowa, krany, a pod nimi betonowe długachne koryto. Udało mi się. Jestem tuż przy kranie. Koszulę zdjąłem już w biegu. Teraz mocno ściskam ją między kolanami, żeby nie ukradli, i obficie, dokładnie do pasa myję się zimną wodą. Garście, pluski wody straszliwie lodowate, bo woda tu ze źródeł górskich. Ale kto chce żyć — nie zważa na chłód, myje się. Starzy kacetowcy powiadają:

— Jeśli kto myć się przestaje, znak to, że niedługo umrze.

I nie mylą się. Żyć w obozie to ciągle pokonywać trudności i niebezpieczeństwa — od małego do wielkiego. Komu odwagi nie starcza, żeby w mróz zimną jak lód wodą do pasa się umyć, ten nie znajdzie w sobie sił, by walczyć o rzecz większą: o własne życie.

Myjąc się, kręcę głową i widzę w kącie umywalni trupa. Ach, to ten... Nocą zakradł się do „kapówki", chleba szukał... Spryciarz, przeciął wpierw elektryczne przewody. Ale i tak go po ciemku wykończyli. Coś słyszałem, przez sen doszło mnie szamotanie się, odgłosy bicia, jęk... Potem raniutko koledzy między sobą gadali... Ale nie dobrze tak dzień zaczynać pod śmiertelnym godłem: chcesz żyć, trzeba uodpornić się na cudze nieszczęście. Wracam na czternasty blok, znów biegiem. Ciemno. Niebo? — pal je licho — na obserwacje nieba czas kiedy indziej. Teraz inny program.

Ściereczkę, zwaną tu przesadnie ręcznikiem, i maciupeńki, lecz jakże kosztowny kawałek zwykłego mydła kładę do drewnianej skrzynki, która mi w pryczy służy za podgłówek (skrzynkę zrobił mi pewien więzień za chleb, trzymam w niej żywność z domu). Ścielę łóżko. Siennik, koc i jeszcze raz koc. Ścielić sztuka. Prycza musi mieć idealną gładziznę a koc ostry kant. Jak się od drzwi na wszystkie prycze spojrzy, żeby gładko, równo było. Oko jak

→

*) Fragment wspomnień z obozu koncentracyjnego Gusen, które ukażą się niebawem nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.

WESTERPLATTE

(Dokończenie ze str. 1)

Przybijamy do przystani. Początkowo idziemy zwartą grupą. Kilkadziesiąt osób nie znajduje wspólnego rytmu. Nie lubimy martwych, sztywnych uderzeń nogami. Jak trzeba to i parademarsch nie jest nam obcy. Ale jak nie...

Najwyraźniej nerwowo podskakują kobiety. Truchcikiem biegnie grupa młodzieży. Kilku starszych panów idzie posuwiście. Nawet wojskowi w mundurach odbywają jakiś cywilny spacerek. Ale nikt nie mówi. I co ciekawsze — nikt nie pali. Choć w grupie wycieczkowej na pewno są palacze. Palili na statku. A tu świeże, niemal leśne powietrze. Po kilku minutach wśród zieleni widać ściany budynku. Nieduży, robi wrażenie cementowego bunkra.

— To wartownia — mówi przewodnik. — Broniło się w niej...

Zatrzymuję się i odrywam od grupy. Jakoś nie przemawia do mnie ten utarty system wycieczkowego zwiedzania. Nie chcę słuchać co mówi przewodnik. Skręcam pod kątem prostym w prawo. Koleiny samochodowe. Cegły. Piasek. Wapno. Aha, jakaś budowa. Dziś niedziela, więc nie ma robotników. Jeszcze sto, dwieście kroków i widać morze. Zbliżam się do brzegów.

To z tej strony kontrtorpedowce i torpedowce strzelały do obrońców. Z drugiej, na kanale przy Zakręcie Pięciu Gwizdków stał pancernik. A wszystkie domy naszpikowane były karabinami maszynowymi, ciężkimi i lekkimi miotaczami min. W lukach pomiędzy domami stały baterie artyleryjskie i czołgi, których armaty wtórowały tym z pancernika i torpedowców. A górą falami samoloty. Obraz zaczyna tężeć. Nabiera ostrości.

Stoimy jakby pośrodku małego poligonu, gdzie każdy metr kwadratowy jest znany artylerzystom i strzelcom wroga. Strzelać mogą z dokładnością do centymetrów. I co najważniejsze, strzelać mogą spokojnie, bo obrońcy nie mają odpowiednich środków ogniowych, które by mogły zrobić im krzywdę. Strzelcy są doskonale zabezpieczeni i zamaskowani. A ta garstka tam na Westerplatte ma tylko karabiny ręczne i maszynowe. No i dwa ppance, i jedną starą trzycalową armatkę.

Strzelanie do nich to zabawa, która nie powinna trwać długo. Godzinę lub dwie.

W akcji brało udział kilka tysięcy ludzi, pancernik, torpedowce i kontrtorpedowce, artyleria ciężka i lekka, miotacze min, czołgi i samoloty. Armat było około siedemdziesięciu. W pierwszym ataku bombowym brało udział 47 samolotów. A więc cała armia przeciwko garstce skazańców. Inne określenie, inna nazwa tu nie pasuje. Teoretycznie rzecz biorąc, ogień artyleryjski jednogodzinny powinien by zmieść wszystko, nie pozostawić na Westerplatte żadnych śladów życia.

Ale Niemcy, mimo wszystko, byli ostrożni.

Zaczęli strzelać 1 września o godzinie 4,45. O godzinie 8 min. 45 kanonada milknie całkowicie. W tej chwili w Generalnym Komisariacie Rzplitej w Gdańsku minister Chodacki przekonany głęboko, że walka o Westerplatte jest zakończona, zwrócił się do swych współpracowników i powiedział: „Jeśli któryś z panów umie się modlić... zmówcie za tych ludzi wieczny odpoczynek". *

Zdawało się nie ma wątpliwości — wszyscy musieli zginąć. Przecież ciężkie 28-centymetrowe działa z pancernika, przecież dziesiątki armat i miotaczy min, przecież strzelało się do małego celu, położonego na otwartej przestrzeni, przecież wystarczyłaby jedna godzina ognia.

A było ich cztery.

Niemcy są dobrymi fachowcami. Wszystkie teoretyczne rozumowania wskazywały jasno: tam nikt nie mógł pozostać przy życiu.

Do ataku, jak na paradę, poszły kompanie gdańskiej SS-Heimwehry. Uważali, że sprawa Westerplatte to sprawa wewnętrzna Gdańska. Chcieli pokazać swą postawę, tym bardziej, że nie było ryzyka... Wyłamali bramę i ruszyli naprzód. I wtedy zagrały polskie ciężkie karabiny maszynowe. Ponad setkę zabitych i drugie tyle rannych zostawili gdańscy amatorzy łatwych sukcesów.

Niemcy osłupieli. I znów zaczął się ogień. Potem do ataku poszedł batalion morskich kadetów, potem regularne oddziały piechoty. Dziesiątki i setki atakujących pozostały na miejscu. Dziesiątki i setki rannych powędrowały do szpitali.

Zaczęła się walka, zażarta walka garstki z nowocześnie wyposażoną armią, walka, która trwała pełne siedem dni i została przerwana, gdy obrońcy wystrzelali ostatnie naboje. Poddali się, tracąc z ogólnej liczby 165 oficerów i żołnierzy około 20 zabitych i ponad 30 rannych. Reszta pozostała przy życiu.

*

Siedem dni. Tak łatwo wymienić te dwa słowa. To przecież nieduży kawałek czasu. To bardzo niewiele, jeśli zmierzy się go pojęciami wycieczki czy urlopu. Ale siedem dni i nocy spędzonych w warunkach takiej walki to wieczność. Kiedy każdy obrońca zrozumiał, że jest skazańcem, że odsiecz nie nadejdzie, że trzeba wyrzec się wszystkiego co ludzkie i że trzeba oddać życie wbrew wszystkim pragnieniom tegoż życia, skowyczącym w każdej komórce ciała. Że trzeba. Bo taki los...

Iluż wśród tej garstki było ludzi młodych, co życie dopiero zaczynało. A tu dla nich wszystkich, co weszli na ten spłacheć ziemi, przestała istnieć nawet nadzieja.

Jak w tych warunkach ci ludzie potrafili wytrzymać siedem długich dni i nocy, kiedy wszystko w nich stygło ze zgrozy, kiedy w polu widzenia mieli tylko czarną ścianę. Powoli sunęła na nich i miała ich zmiażdżyć. A jednak strzelali do niej do ostatniego naboju...

*

Westerplatte to coś innego niż Termopile, Somosiera czy Częstochowa. Tam był jakiś stosunek sił, jakaś szansa, jakaś nadzieja.

A tutaj nic.

Obrony Westerplatte nie dyktowały względy strategiczne ani taktyczne. Ta walka nie miała materialnych uzasadnień. Miała tylko moralne. Była protestem przeciwko podłości i obroną słusznych praw.

Czy każdy obrońca to rozumiał?

Żołnierz nie rozumuje, żołnierz walczy.

Ale aby wydobyć z siebie wszystkie siły, musi wiedzieć, że to, co robi, jest słuszne. I wtedy może zdarzyć się cud. Najprawdziwszy cud. Bo rezultatu walki na Westerplatte inaczej nazwać nie można.

Jest on dla zimnego fachowca, analizującego jej przebieg, niezrozumiały.

Ta nazwa, dziś najprawdziwsze polskie słowo, kryje w sobie ogromne złoża energii, z których mogą czerpać pokolenia. Na oczach naszych zrodził się czyn, który wielki talent będzie mógł ubrać w formę wielkiego mitu.

A może to był przejaw energii psychicznej, siły najwyższej w przyrodzie, wobec której moce atomowe są dziecinną zabawką?!

*

Wracam z samotnej wędrówki poprzez zarośla i krzaki. Gromada skupionych turystów słucha objaśnień przewodnika. Wskazuje on ręką na mały cmentarzyk. Tu leżą polegli. Ci, którzy znieruchomieli i patrzą na przybyłych ramionami cementowych krzyżów.

Statek wyrusza w powrotną drogę. Turyści znów zatapiają się w życiu. Zewsząd otacza ich ruch. Życie pulsuje gorączkowo, radosne i silne. Gdańsk pulsuje życiem. Odbudowa poczyniła wielkie postępy. Ruiny zniknęły.

Jeden z mieszkańców Gdańska powiedział mi:

— To dobrze, że były tu ruiny i zgliszcza. Bo wszystko, co teraz jest, wzniesione zostało polskimi rękami, to naprawdę nasze i nikt do tego nie może mieć prawa!

Stateczek przybija do przystani. Rzucam okiem za siebie. Las domów, kominów, żurawi.

Zagłębiam się w ulice miasta, które było nasze i jest nasze, Westerplatte... a genitivus — Westerplatta. Hm... dziko, nie pasuje. A pluralis... Westerplatty — jeszcze gorzej. To słowo ma tylko liczbę pojedynczą, samotną i strzelistą. I nie da się odmieniać, tak jak nie da się pisać przez małą literę.

Jest niezależne w swej sztywnej pomnikowej formie, i gorące, żywe w swej treści.

I dlatego w każdym polskim mieście i miasteczku powinna być ulica czy uliczka Obrońców Westerplatte.

Dlaczego nie ma, choć są inne?!

Wacław Gralewski

* M. Wańkowicz „Westerplatte".

kula po bilardowym stole musi się potoczyć. Mam własny „bigiel", wygładzam łóżko. Szybko i sprawnie.

Później słał za mnie złodziej, zwany „Krakowiakiem". Idealny kumpel! Ja mu chleb, on mi łóżko. Zaprzyjaźniliśmy się. Ja go zachwycałem poezją i moralnymi podstawami, a on mi imponował brakiem jakichkolwiek zasad. Był jak jagnię boże, nie wiedział co dobre, co złe. Ale rozumiał, że każdy człowiek ma ręce do siebie i trzeba brać. Później „Krakowiak" służył mi za cały oddział pretorianów: bronił mojej osoby przed natrętnymi, przed ciżbą.

— Gdzie pchasz się, łajzo? Nie widzisz, że tu lepszy gość..

A „lepszy gość" (niby ja) miał swobodniejszy „Lebensraum" i broniony przed tłokiem, spokojnie zajadał poranną zupę.

Po zupę „Kostenträgery" wychodzili jeszcze przed gongiem. Latem budzono nas o piątej, zimą o szóstej. Najgorsze były poranki przejściowe, jesienne i wiosenne, bo z pluchą. Wiosną to jeszcze nadzieja przyświeca, że na lato idzie. Ale w listopadzie człowiek miesił mgłę, błoto i mgłę miał przed oczami. Jeśliś mocny, dotrwasz do wiosny, a tam znowu lato, odetchnienie.

W listopadowe poranki smaczniej, bardziej kusząco pachniała zupa na bloku. Licha, a nęciła. Już się umyłem, powróciłem na blok, zaścieliłem łóżko. Teraz ubrany stoję w kolejce. Kotły jak kotły. Siurpryza żadna. A jednak człowiek patrzy na „Kostenträgerów", na oślimaczone pokrywy... Co dadzą?

Wydawano tak zwane „knorrówki", czyli zupki na kostkach. Cienkie to, ale zawsze na dnie trochę drobnej kaszki, a czasem makaron. Na więźnia przypada pół litra, ale szkopska ferajna musi się pożywić, więc do rąk dochodziło ćwierć, czasem ociupinkę więcej.

Ludzie stoją w kolejce, przestępują z nogi na nogę, niecierpliwią się. Blokfryzjer najbliższemu już chochlą przylał:

— Gdzie pchasz się, śmierdzielu!

Rzeczywiście, gdzie to się taki pcha? Trzeba mieć poszanowanie. Najpierw bierze starszyzna blokowa, później sztubendienści, później kumple sztubendienstów, później kumple kumplów. Na ostatek ty, więzień, czyli nieznany żołnierz walk z hitleryzmem. Ani żyjący, ani umarły. Po prostu numer i dlatego bliżej nieznany. Wziąłeś swoje? Hau ab!

Więzień chwyta miskę albo kubek w wychudzone, zgrabiałe ręce. Chce pić. Waha się. Ręce ugrzać czy gardło, ciało? Ważniejsze drugie. Żeby trochę tej gorącej lury rozgrzało żołądek, ciepłem rozeszło się po kościach. Ale to tylko chwila. Oczy pozostają te same i brzuch nic nie lepszy: głodne, puste.

Blokfryzjer rozdał zupę, ale jeszcze zostało coś na dnie. On o tym wie i wiedzą też więźniowie. Paczkowiczów to niewiele interesuje, i tak z wiktu lagrowego nie żyją, ale muzułmany głodomory wytrzeszczyli oczy, patrzą na Zygmunta, obserwują i szacują każdy jego ruch, starają się odgadnąć — komu da.

A on? On jest teraz u szczytu władzy. On może dać komu zechce. Blokfryzjer Zygmunt (Polak!) udaje obojętnego, spokojnie, od niechcenia kręci chochlą w cienkiej zupie, wierci jakby na dnie kotła znajdowała się co najmniej kasza tatarczana ze szpyrkami. Wierci, ale oczami wyszukuje, zezwala, zachęca. A tamten już wie: on! Podchodzi skwapliwie, z uniżoną radością. Odprowadzają go nienawistne spojrzenia kolegów.

— Na pole!

Więźniowie stukają trepami. Chwilę tłoczą się „na polu", czyli na wąskiej przestrzeni między czternastką a trzynastką. Na to „pole" traktorem nie wjedziesz — takie wąskie. Górą ciemne niebo, chmury, deszcz albo śnieg. Ludzie kulą się, drżą. Ale skwapliwie korzystają z okazji. Bo teraz na krótko odbywa się spotkanie towarzyskie, nieomal salon. Pod barakami anemiczne trawniki, latem kwitnie na nich czerwono szałwia. Miejsca do spacerów tym bardziej mniej. Ale rozmawiać można, spotkać krajana i podpytać go, jakie nowości? Co na bloku? W nocy? A co piszą z domu? Wojna temat to zbyt wielki i jakby odległy. Ludzi interesują raczej komentarze, tak zwane parole i wróżby. A co się koledze śniło? Szynka! Dostaniesz, koleś, dziś w dupę!

— Antreten.

W pierwszych dniach kwarantanny zawsze był z tym kłopot. Ale teraz wdrożono ludzi do szeregów i stoją idealnie. Ja w czołówce, bo wysoki. Psiakość! Dobre to na wolności dla dziewuch, ale tu w obozie wysoki zawsze podpada. Esesman czy blokowy, gdy się zezłości, wali w mordę. A kogo najłatwiej? Wysokiego, bo widoczny, tuż pod ręką sterczy.

Koło mnie z prawej strony stoi rodak. Na lewicy Hiszpan, a potem Belg, a potem... Już nie patrzę, obojętne. Łach ten sam i gorycz ta sama.

Franz daje rozkaz do wymarszu. Willi czyli „Torwacha" życzliwie otwiera nam bramę (czternastka mieści się w obrębie odrutowanej kwarantanny), idziemy na plac.

My idziemy, a martwych niosą. Na apelplacu musi zgadzać się stan. Żywi, martwi i konający — razem! Kto może, o własnych siłach idzie. Kto już ledwo zipie, korzysta z tragi. Niosą go, położą na ziemi obok zesztywniałych już zwłok. Konaj sobie, jeśli łaska, ale na apelu bądź.

Ogarniam spojrzeniem tę bezimienną, skotłowaną ciżbę. Wlewa się ciasno na apelplac. Za chwilę stanie w szeregach, umilknie, zesztywnieje w czekaniu.

Blokowi z pomagierami wyrównują szeregi. Tu w zęby, tam kopsa w tyłek. Uważają, że taki sposób jest niezawodny.

— Mützen ab!

Zeszpecone bruzdami głowy obnażono na zimny wiatr. I teraz, o ironio! czas na refleksje.

Bo właśnie przez bramę wchodzą esesmani z wyjącymi wilczurami. Przechodzą wzdłuż szeregów, liczą. Przez chwilę twarde, okrutne spojrzenie zatrzymuje się na mojej wysokiej postaci. Widzę to i truchleję ze strachu, bo nigdy nic nie wiadomo. Esesman przeszedł, a strach we mnie pozostał. Czuję, jak rośnie we mnie i, zwielokrotniony, paraliżuje mi ciało. Tylu ludzi, tysiące więźniów na placu stoi, a ja jestem sam z moim strachem. Szukam ratunku w otoczeniu, ale dookoła jeszcze noc, gdzieś daleko spod ciężkiej czarnej chmury broczy brzask, zimno, wiatr, kaszel, wieże strażnicze, esesmani, psy i nieruchomi ludzie. Dziesięciu esesmanów trzyma w panicznym lęku tysiące więźniów. Szukam, do czego by z wiarą, ufnością przylgnąć. Ale obóz jest czarny i wrogi. Za nami wysoko w górze płomień z komina. Czasem wysypią się iskry. Nie wiem dlaczego kojarzą mi się z pocztówką, na której uśmiechnięta słodka kobieta i wyzłacany napis „Herzliche Grüsse". Tu powinienem się gorzko uśmiechnąć, ale nie stać mnie na żaden odruch. Powtarzam tylko głupio w myśli: Herzliche Grüsse, herzliche Grüsse...

Esesmani zdają obliczenie grubemu Rapportführerowi, ten podchodzi do Lagerführera i melduje mu stan obozu. Napięta cisza. Słychać każde słowo meldunku. Po chwili:

— Arbeitskommando formieren!

Plac natychmiast wybucha gwarem, jazgocze wielojęzycznie. Ludzie krzyczą i ten krzyk przepędza mój strach. Biegną do swoich komand. Opuszczają mnie złe obawy. Chwała Bogu, apel udał się szczęśliwie. Zaczyna się dzień pracy. Wstępuje we mnie ożywienie i jakaś nikła nadzieja. Wszystko, byle nie stać tak na placu w stanie żywych i martwych i nie czekać na esesmana ze spojrzeniem śmierci. Trupy zbiera teraz Leichenkommando. Chorzy ustawiają się pod barakiem, żeby pójść na rewir. A my zdrowi maszerujemy do robót.

Grzegorz Timofiejew

Drogi mój!

Miejscowość nazywa się Krzyże, a ja cały jestem zachwycony. Jest to wieś jedna z tych zagubionych dosyć, między jeziorem Nidzkim wielkim, wspaniałym i lasami nie mniej. Ale jezioro jest bez porównania. Pod niebem błękitnym migocze słonecznie i nieprzebranie i ma się wrażenie, że niebo jest niewiele większe od niego. Nie mniej czarny pas lasu okalający, jakby nie zamykał wcale przestrzeni jeziornej, tylko tak. Woda jest przezroczysta u brzegów, a płytkie, piaszczyste dno schodzi wolno ciemniejąc do głębokości coraz ciemniejszych. Ale tego opisać nie można.

Przyjechałem do Krzyży z jednym człowiekiem, który mnie uczy wielu rzeczy praktycznych, ale najwięcej humoru. Mieszkamy u takiej rodziny mazurskiej bardzo uczciwej. Rano chodzimy z moim człowiekiem nad jezioro, w jedno miejsce. Wysoka skarpa otwiera szeroko horyzont cały daleko widoczny przez powietrze przezroczyste i świeże i tak się tutaj oddycha nadzwyczajnie, jakby się jadło coś lekkiego, bardzo zdrowotnego. Ale tego opisać nie można.

Skaczę ze skarpy w piasek zbocza, biały, ciepły, albo kładę się na plecy i z samego szczytu zsuwam się jak po ślizgawce piaskowej, albo odbiegam do lasku sosnowego, zaraz na lewo i wchodzę na jakieś drzewo i przechodzę z jednego na drugie, przeskakuję z jednego na drugie, aż do samego brzegu jeziora, a niektóre drzewa to są nawet całe pochylone nad jeziorem. Wchodzę na nie i z samego czubka skaczę do wody. Pluskam w wodzie, daję nurki i pływam pod wodą z otwartymi oczami zdziwionymi. Ja dobrze wiem, że muszę się cieszyć. Moja głowa dobrze o tym wie i całe ciało w słońcu i w wodzie uradowane.

Późnym wieczorem chodzimy na spacer do lasu. O dziesiątej jest jeszcze widno zupełnie. Wychodzi wtedy odległość. Widzi się bardzo dobrze plany wychodzące: drugi i trzeci i dalej. Mój człowiek mówi, że muszę pojechać do Leningradu, że to jedno z najpiękniejszych miast Europy, że tam są białe noce bardzo wspaniałe. Bardzo chętnie bym pojechał do Leningradu. W lesie jest jedno małe jeziorko, które się nazywa „Wesołek", wiem dlaczego, bo jest ponure. Dookoła „Wesołka" jest bagno, na którym rosną drzewa całe suche przeważnie. Zapach tam się roznosi trochę inny niż nad jeziorem Nidzkim, wielkim, wspaniałym. Nie jest taki szeroki i zwiewny, ale przyduszony, schowany jakby pod bagnem. Tak że piękność „Wesołka" to jest taka ponura piękność i tajemnicza dosyć. Mój człowiek pokazuje mi różne kwiaty i mówi, jak się nazywają. Najbardziej lubi taki niebieski i wysoki, który rośnie stadami przy drogach. Widziałem wiele razy żółty łubin na polach, ale ten niebieski dużo piękniejszy i wyższy. Wszystko tu jest nadzwyczajne, mój drogi, i żałuję bardzo, że nie ma tu Ciebie. Byłaby nas trójka.

Twój Edward Stachura

Nie mniej drogi!

Otrzymałem twój list. Nieoczekiwanie w kiosku „Ruchu". Czyżby brak 60 gr na znaczek wzbogacił cię o ten pomysł epistolograficzny i... redakcyjne honorarium w „Kamenie"? Jeżeli tak, uznajesz chyba słuszność opinii Pawła Valéry, którą przytoczyłem w czasie naszej ostatniej rozmowy: „artystą jest ten, któremu trudność związana z jego własnym rzemiosłem podsuwa idee". Koniec cytatu i żartu. Wiem, że spodziewasz się w tym miejscu mojego — po to, żeby się nie zgadzać — stosunku do wyrażonej myśli, jako że tamta nasza rozmowa nie mogła być dialogiem. Nie naciągniesz mnie jednak na żadne teoretyczne wyznania tyleż przydatne dla syntezy dwu stanowisk, a i dla wyrażenia stanowiska jednego, co tygodniowa recenzja w prasie. Przypuszczam zresztą, że nie masz ochoty na lettre-fleuve.

Nie odpowiem ci jednakże samymi unikami. Twój język! Twoja niby zachowująca bezpośrednią tkankę doznania antyskładnia, użyta w tej paradoksalnej postaci dla ocalenia „natury" przeżyć, rzekomo wymaturzanych, kiedy przechodzą przez filtr gramatycznych prawideł. Modne. Butor pisze antypowieści, więc u nas trzeba pójść jeszcze dalej i kombinować (za sprawą Gombrowicza) coś w rodzaju antyjęzyka. Pokusa niemała, skoro ulegnie jej i Lovel i — zdaje się, kiedyś — Kijowski, nie licząc przygodnych wolontariuszy „unowocześniających" w ten sposób swoje teksty. Czy sądzisz, że 1) konwencja stylistyczna odgrywa decydującą rolę filozoficzną, 2) prawidła gramatyczne gubią adekwatność przekazu, 3) nowe widzenie świata staje się faktem, kiedy dokonane są perturbacje w dziedzinie przyjętych związków słownych? Żadna poezja nie zaczęła się od poetyki, a to, co się tak zaczęło, poza poetykę nie wyjdzie. Pozwól zresztą, że zaargumentuję na twój punkt najwrażliwszy, mianowicie na postulat nowości. Posłuchaj: „Więc, Teajtecie, według obecnego toku myśli, zdaje się, że należące do umiejętności przywłaszczania sobie, zagarniania, polowania, i to na istoty żywe, na lądzie, na łaskawe, na istoty ludzkie, w życiu prywatnym, za pieniądze i dla pieniędzy, a niby to dla wychowywania ludzi młodych, bogatych i obiecujących — takie polowanie, jak nam z obecnego toku myśli wynika, powinno się nazywać sofistyką". Ten Teajtet i ta sofistyka psują mi zaskoczenie, bo umiejscowiają zacytowany tekst w wiadomym czasie historycznym: wyjątek pochodzi z Platona. Czy ćwiczysz się w apokryfach tekstów z IV w. przed Chrystusem?

Korzystałem wobec ciebie z owej umiejętności „słuchania", którą mi przyznajesz, poznałem cię więc na tyle, by mieć pewność, że koniecznej dla jasności sformułowania logicznej ostrości sądu nie utożsamiasz z zacietrzewieniem — sporu ze sprzeczką — mogę więc na temat pisania mającego być „nie fałszywym" dorzucić kilka uwag. Generalna: nie znoszę pisania z pozycji ostatniego numeru literackiego tygodnika. Nie znaczy to, że wymagam, by każde słowo strącone z pióra szybowało wprost w wieczność nieprzemijających wartości. Nie znaczy również, bym nie doceniał znaczenia pism, gdyż czytam je z korzyścią i dużym zainteresowaniem. Ale nie mogę się zgodzić z takim podejściem, które w nich widzi biuletyn giełdowy o aktualnych kursach metafor. Co „idzie", jaki „chwyt" zostanie uznany za „ciekawy", jaką postawę wybrać z magazynu literackiej mody — oto co przede wszystkim jest wyczytywane przez „obiecujących", „zapowiadających się", „oryginalnych" debiutantów. Przecież istnieje jakaś różnica między tygodnikiem (który nawet nie jest żurnalem) a żurnalem krawieckim. Czy można w ten sposób dojść do pisania — jak nazwałeś — „nie fałszywego"?

Uważam, że utwór — już gotowy, już powstały — może być oceniony dodatnio z punktu widzenia owych przez tydzień czy kwartał najgłośniejszych „chwytów", a nawet ta dodatniość oceny może nie szkodzić jego istotnej wartości. Ale jeśli sam zamysł twórczy (tu chyba cudzysłów) jest ustawiony pod kątem takiej aktualności, jeśli piszący chce zawrzeć w utworze tylko resonans w stosunku do recenzenckiego kamertonu, jeśli cały wysiłek włożony w dzieło jest tylko poszukiwaniem skutecznego sposobu wprowadzenia go na rynek — gdzież osobowość piszącego, gdzie wyrażona rzeczywistość, gdzie własne widzenie świata. Owszem, będzie — w recenzji.

Weź na przykład coś z ostatniej partii wydawniczej w dziedzinie „poezji":

wszystkie pomiędzy
tą, która poruszyła twoją krew
a tą która
zatrzyma to jąkanie czyjegoś
imienia może jasnych włosów
wszystkie godziny

itd. Nie sprzeczajmy się o „merytoryczną" wartość fragmentu i zawierającej go całości, bo zamiast listów musielibyśmy wymieniać skóry wołowe. Ale zauważ, że to „pomiędzy" i ta „która" i to „czyjegoś" musi być na końcu wersetu przełamane układem graficznym, bo tak nakazuje od Różewicza wywodząca się mania... przepraszam: zrewolucjonizowanie języka poetyckiego wprowadzające do poezji elementy nawet jej obce. Hę. A jeszcze „samoograniczenie posunięte aż do ascezy". Nigdy nie daj się na to złapać. Tak to pięknie w recenzjach nazywa się ubóstwo wyobraźni.

Ale znów nie chcę tą wyobraźnią przedłużać listu, bo piszesz mi o słońcu, o pogodzie, o widzianym świecie i całe szczęście, że to nie jest proza, ani poezja. Myślę, że rzeczywistość nas uczy najlepiej i jakkolwiek nigdy nie odejmie nam pasji wyrażania, to jednak dostarcza owej satysfakcji z piękna nie zawsze mogącego być spełnionym na drodze wysiłku. Piękno, które dla swego istnienia nie wymaga zabiegów, piękno, które jest — oto przyroda, natura, rzeczywistość i jaki tam jeszcze rzeczownik da się dopisać. Czasem aż zdumiewa to rozumienie naszych potrzeb estetycznych ze strony najgłupszej gałązki czeremchy. Metafora, anafora, elipsa — a ta po prostu pachnie. I umiej tu powiedzieć, że czeremcha pachnie. Potrafisz?

Najgoręcej życzy ci tego twój

Attikus

W STRONĘ MŁODYCH

KOLUMNA AUTONOMICZNA

JERZY MATACZYŃSKI

Tyłem do słońca

Gdy tylko obudziłem się, uświadomiłem sobie od razu: mam wolny dzień. Może sprzyjał temu odgłos trzepanych chodników na podwórku, może jakieś inne słońce, czyste i świąteczne. Była niedziela, to się widziało. Ludzie idą do kaplicy, wyczekują po mszy na chodnikach, wbici w garnitury, zgrzani. Wskazują z szeptem znajome. Zwykła letnia niedziela. Komuś z większego miasta wyda się dziwnym, że ja, mechanik kinowy, miałem wolny czas, wtedy, gdy inni nie pracują, gdy chcą odpocząć i pójść do kina.

Filmy według mnie nie są rozrywką, to praca. Przeforsowałem też, swój zresztą projekt, niewyświetlanie ich w niedzielę. Święto to święto.

Ja też kiedyś lubiłem projekcje i dlatego wybrałem tę właśnie pracę. Potem zmieniłem zdanie — jak zawsze. Nie potrafiłem nigdy niczego przeprowadzić konsekwentnie do końca. Dlatego chyba skończyłem tę włóczęgę z Piotrem. Była zima i zapragnąłem mieć ciepły kąt i jakieś zajęcie. Piotr żegnając mnie powiedział: „Wpadnę do ciebie na wiosnę i zobaczysz, że wszystko znów będzie dobrze". Nie przyszedł, chyba też zaczął pracować. Przewijałem więc te cholerne taśmy od pół roku i widziałem, że dzieje się ze mną coś złego. Przestałem wyobrażać siebie jako bohatera aktualnego filmu (dawniej zawsze przed snem miałem takie marzenia). Zaczynałem wszystko widzieć płasko, niejako filmowo. Mówię o myślach, bo rzeczywistość miała nadal swoje stare wymiary. Żeby się jakoś rozerwać, gwizdałem, śpiewałem i śmiałem się złośliwie podczas najbardziej dramatycznych scen na ekranie. Ktoś doniósł o tym kierownikowi i musiałem przerwać swoje niewinne rozrywki.

„Nie po to cię tu trzymam, synu, żebyś rozbijał mi atmosferę. Ludzie przestaną przychodzić, zrażeni twym idiotycznym zachowaniem. Będę musiał zamknąć interes i co wtedy ze sobą zrobię", — gadał mi w gabinecie stary Gazdowski. Wymówiłem mu natychmiast. Facet zmartwił się szczerze i poprosił, żebym został, dopóki nie znajdą na moje miejsce innego.

„Dobra, ale niedziele muszę mieć wolne". Zgodził się tylko na co drugą i tym sposobem mam dzisiaj cały dzień dla siebie.

Dozorczyni przestała trzepać na podwórku i wychodząc zobaczyłem, jak zamiata bramę. Miotła piszczała w jej rękach.

— Dzień dobry. Lato, co? — zapytałem uprzejmie. Spod miotły kurzyło jak diabli.

— A lato... lato. Zmieniacie jutro obraz?

— Nie wiem.

Kazik złaził ze schodów, których wylot był akurat naprzeciwko tych, gdzie ja mieszkałem.

— Cześć Maciek.

— Cześć. Lecisz pod Dworzec?

Powiedział, że tak i wkrótce tłukliśmy się w dusznym „Oplu". Kazik to mój znajomy, nawet przyjaciel, ma jedyną taksówkę w mieście i odwozi mnie niekiedy do pracy, w zamian za to grywam z nim wieczorami w tysiąca. Nie jest to właściwie gra w całym tego słowa znaczeniu, raczej rodzaj dyskusji, zaczynającej się i kończącej podobnie. — „Po cholerę ty jeździsz na ten dworzec. Wiesz przecież, że już od pięciu lat więcej niż dwa pociągi dziennie tu nie przyjeżdżają". „Nic nie wiadomo — odpowiadał Kazik — może dzisiaj przyjedzie jakiś nowy, może zmienią rozkład jazdy i w ogóle może stać się coś ważnego, a ja nie chciałbym tego przespać... Każdy ma w życiu szansę, swoją własną. Na pewno jest kilka podobnych. Trzeba spośród nich wybrać tę właściwą i cierpliwie czekać. Wydaje mi się, że ja odnalazłem swoją, czekam tylko na jej wykorzystanie. Różnie to może wyglądać. Na przykład: przyjeżdża do nas jakiś wielki człowiek, wynalazca, konstruktor. Na dworcu czekam tylko ja. Wiozę go ostrożnie do hotelu, omijam wszystkie wyboje, żeby broń Boże bez jakiegoś wstrząsu. On do mnie gada, pyta jak długo jeżdżę, wreszcie mówi: Wiesz pan, wymyśliłem nowy model samochodu, jedź pan ze mną, to go wypróbujemy. Szansa staje się rzeczywista.

Istotny też jest wybór. Nie można pomylić swojego przeznaczenia z innym, bo cię wykopią, nie można też przebierać w szansach jak w śliwkach, gdyż potem zabraknie czasu na ich wykorzystanie".

Niekiedy Kazik zmieniał rodzaje swego przeznaczenia, jednakże zawsze wiązały się z jego zawodem. Z tych powodów nie wierzyłem temu, co opowiadał, chociaż zwykle argumentował bardzo rzeczowo. Powątpiewałem też dlatego, że nie mogłem w żaden sposób dopasować jego teorii do siebie. według Kazika nie znalazłem jeszcze swojej szansy, albo już ją ominąłem. Było to prawdopodobne, bowiem przy żadnej pracy nie potrafiłem wysiedzieć dłużej niż cztery miesiące, wyłączając oczywiście kino. Nie! Kino to nie dla mnie okazja. Niech je cholera.

Zaparkował wóz nieopodal budki z piwem. Wysiadłem i zeskrobywałem palcem lakier, który na dachu samochodu wybrzuszał się od słońca w płaskie ostrosłupy. Wydawało mi się, że Kazik chce mi jeszcze coś powiedzieć, więc poczekałem chwilę. Za paznokciem miałem już grubą warstwę farby. Zostaw to — rzekł Kazik i wysiadając dorzucił — czuję, że dzisiaj się coś wydarzy z tym nowym pociągiem. Nie napijesz się piwa? Chętnie bym się napił, lecz on nie zaczekał na odpowiedź i oddalił się w stronę zielonego kiosku, będzie tam sterczał do wieczora, a potem pijany zagrzechocze swoim gratem po bruku w zwariowanych zygzakach.

Pospacerowałem sobie wolno w ulicę Kościuszki. To była naprawdę gorąca niedziela. Zauważało się samo słońce, tyle rażącego światła, że wszystko tkwiło przerażone w jakimś nienaturalnym bezruchu. Oczywiście byli też i ludzie. Siedzieli na drewnianych schodkach gaworząc leniwie, umyci, w czystych koszulach. Mogłem nareszcie widzieć człowieka niezaangażowanego, skręcającego się od nudy i gorąca, to sprawiało, że lubiłem swoje wędrówki. Każdy by to lubił, gdyby sześć godzin dziennie przyglądał się niedorzecznym historiom na ekranie. Przesuwałem się pomiędzy szpalerami usadowionym przed domami, nikogo nie znałem i szedłem lekko nie obarczony żadnym ukłonem, wolny. W takich chwilach przypominały mi się czasy włóczęgi z Piotrem. Wysokie słońce, na ramionach plecak i droga. Ech!... A z drugiej strony ten Piotr to świnia, miał przyjść po mnie na wiosnę i na pewno powędrowałbym z nim razem. Ale ja odzwyczaiłem się już od kilkudiowych postów, prowadziłem życie unormowane, niejako zakwalifikowane przez pracę, więc za co bym kupował żarcie na włóczędze. Odpowiedziałem sobie od razu — ej stary, mieszczuch się z ciebie zrobił.

Nie wiadomo kiedy znalazłem się za miastem. Dzieci przy drodze na mój widok przerwały zabawę i wskazywały mnie palcami, na pewno szeptały: ten to ma dobrze, tyle filmów może oglądać. Uciekłem więc od dzieci. Słońce waliło mnie potężnie w twarz, piekło bardziej niż w mieście. Postanowiłem wrócić do miasteczka i wtedy zobaczyłem ich dwoje. Wlekli się milcząc ścieżką, ona przesuwała dłonie po kłosach, zostawiając rozfalowany ślad. Pomyślałem, że jeśli się pocałują i ja to będę widział, to coś się zmieni, byłem też ciekawy, jak to wygląda naprawdę. Śmieszne, ale poza ekranem nigdy nie widziałem nic takiego. Chłopak w pewnej chwili odwrócił się, jak gdyby chciał przyjść do mnie, aby mi coś zrobić. Cofnąłem się więc kawałeczek, nie dlatego, żebym się bał, ot tak konwencjonalnie. Dziewczyna trzymała go mocno za rękę, a sama tupnęła nogą jak na kota. Nie wypadało jej robić przykrości, więc zawróciłem niechętnie i położyłem się w zbożu przy drodze. Nakryję ich, kiedy będą wracali. Słońce zmatowiało, paliło jeszcze silniej niż w południe. Była już czwarta, gdy usnąłem. Sen miałem bardzo dziwny. Dziewczyna biegła płacząc, a chłopak nie wiadomo dlaczego klął. Potem widziałem ich na ekranie wyrysowanych przez smugi światła z mojego projektora. Ekran pulsował, drżał i kłuł w oczy. Odszedłem więc w głąb kabiny, lecz chłopak przypłynął z ekranu. „Czego przestałeś wyświetlać? — myślisz, że ci się uda stąd uciec? Nic z tego, codzienność jest zawsze taka sama, a ty masz ją lepszą, wyselekcjonowaną, stworzoną". Zastanawiałem się właśnie, o co mu chodzi, gdy zobaczyłem, że to był właściwie Kazik za kierownicą swego „Opla". „I w ogóle może się stać coś ważnego, a ja nie chciałbym tego przespać". Odkorkował z hukiem butelkę. Otworzyłem oczy. Nade mną przewalały się ostre poplątane błyskawice, kawałkowały chmury, wyglądające teraz jak popękana szyba. Pobiegłem, by zdążyć przed deszczem. Gdy wymijałem dworzec, zauważyłem zamiast „Opla" Kazika niebieski samochód i od razu wiedziałem, że coś się stało. Wszystko wyglądało zwyczajnie, a ja i tak wiedziałem: stało się coś bardzo ważnego, chyba przyjechał Piotr, albo coś. Obok domu spostrzegłem samochód Kazika. Sam Kazik siedział u mnie na górze.

— Słuchaj Maciek — powiedział, z tą szansą to nie jest tak. Nie chodziło o to, na co czekałem tylko o samo czekanie. Chciałbym kogoś przekonać o tym, co mówiłem, uwierzyliby mi w końcu: on czekał, a więc coś się stanie. Sam w to nie wierzyłem nigdy... Zawiadowca powiedział, że od lipca będzie przychodził tylko jeden pociąg. Jest nowa taksówka. Sprzedaję wóz i uciekam z tej dziury.

— A jeśli to nie była twoja szansa? — zapytałem złośliwie. Kazik machnął ręką — nie wydurniaj się. Powiedziałem mu, że wyjadę z nim razem. Ucieszył się.

Tymczasem zagraliśmy w tysiąca.

Nowe pismo literackie?

Ukazał się ostatnio numer pierwszy „Biuletynu Młodego Twórcy", wydany przy pomocy KW ZMS. Wszystko, oprócz fatalnego tytułu i zupełnego braku korekty, jest godne pochwały: sama inicjatywa, świetny papier, luksusowy jak na użytkowe wydawnictwo i łamanie numeru, choć bardzo rozrzutnie gospodarujące miejscem.

Na numer składają się utwory poetyckie następujących autorów: J. Biaduń, Z. Falkowskiego, A. Z. Metery, W. Michalskiego, H. Pająka, J. Sprawki, V. Szorc, Z. Zaborskiego i N. Zachajkiewicz oraz dość ciekawe opowiadanie „Dementi" J. Kolano. Prawie wszystkie te nazwiska widzieliśmy już na łamach „Kameny". Poezja „Biuletynu" przedstawia się przeciętnie, wyróżniają się trzy utwory: „Granaty" N. Zachajkiewicz, „Początek końca" Z. Zaborskiego i „Osaczeni" H. Pająka.

Na tym tle niektóre pretensje zawarte w uwagach „Od Redakcji" wydają się nieuzasadnione. Czy wszystko, co napisane, naprawdę jest godne druku? Przecież za kilka lat będziecie się wstydzić większości wydrukowanych wierszy. Piszecie: „Chcemy pisać i drukować sami, skoro lubelscy literaci pamiętają tylko o sobie. Musimy sami szukać dróg na lubelski Parnas, nie liczmy na obiecanki wydawnictw i redakcji". Otóż pierwsze zdanie jest po prostu nieprawdziwe bo prasa lubelska, także „Kamena", drukują co tylko można, czasem rzeczy niżej poziomu, stosując taryfę młodzieżową. W drugim zdaniu macie rację: na Parnas idzie się własną drogą, a przepustek i kart wstępu nie wydaje lubelski oddział ZLP, ani nikt inny. Tylko dlaczego lubelski Parnas jest szczytem waszych marzeń?

To tyle utyskiwań. Autorzy noty mają rację: pismo dla młodzieży literackiej jest w Lublinie potrzebne. Powiem nawet — konieczne. Dlatego trzeba życzyć zespołowi redakcyjnemu, by udało mu się stworzyć takie pismo, o jakie wszystkim nam chodzi: ciekawe, odważne, bojowe i żywe. Pismo młodych.

T. K.

Do Edwarda Stachury list prywatny

Obiecałem Panu kiedyś, że napiszę o Pana wierszach. Była to obietnica całkowicie niefrasobliwa i trudniejsza do spełnienia, niż mi się wtedy wydawało. Byłem pod wrażeniem Pańskich wierszy, zwłaszcza po wieczorze autorskim w klubie „Nora". Do dziś pamiętam te wzruszenia, jakie obce są lekturze większości bieżącej produkcji poetyckiej, bo tak to trzeba nazwać. Zadziwiła mnie delikatność i czułość niemal tych wierszy. I tęsknota, tak zresztą daleka od sentymentalizmu i łatwego wzruszenia. Przeżyciem była dla mnie „Róża", którą czytałem później wiele razy. Temperatura tego utworu w dalszym obcowaniu nie stygła, przeciwnie.

a mnie to już nikt dawno tak bardzo
dawno tak bardzo już nikt
nie pielęgnował

Tajemnicą poety pozostaje, dlaczego słowa bez wartości poetyckiej (zaimki, spójniki itd.) nabierają tutaj takiej muzyki, skąd nagle ta ich poetycka wartość? To fragment nie najlepszy, ale charakterystyczny.

Przyznam się: byłem bezsilny wobec tej poezji, nie potrafiłem sformułować, co tu jest nowego, choć to nowe było dla mnie oczywiste. Wyczuwałem jej melodię, ale nie potrafiłem określić, co się na to składa. Dziś dla mnie sprawa jest już jaśniejsza. Przypomnę tylko prośbę Pana, żeby powiedzieć, iż wiersze Barbary Sadowskiej drukowane we „Współczesności" są plagiatem Pańskich. Podobieństwo okazało się istotnie zadziwiające. U Sadowskiej jak i u Pana, widać było, że słowo nie ma samoistnej wartości, podporządkowane zostaje rytmowi, muzyce, melodii. Niefrasobliwie obchodzicie się z gramatyką i prostą logiką zdania. Po murzyńsku faworyzujecie bezokolicznik i pierwszy przypadek. Pozorujecie ubóstwo składni, stwarzacie zdania okaleczone, eliptyczne, kapryśnie połamane, ale to wszystko wiąże i łagodzi bezbłędna śpiewność waszych wierszy. Chętnie odwołujecie się do składni i języka staropolskiego. To dodaje wam powagi, koturnu, patosu. Dlatego Pan tak chętnie korzysta z retoryki, ze stylu biblijnego.

Teraz nie posądzałbym Sadowskiej o plagiat. Mam dowody, w tekstach, że Pańskie wiersze są przejawem jakiejś nowej poetyckiej tendencji. Proszę przeczytać jeszcze „Berenais" Czycza, wiersze bodaj Grześczaka, czy z lubelskiego podwórka biorąc przykład — Pająka. Nie da się ona jeszcze skodyfikować, nie wszystkie składniki tej budowy są widoczne. Mnie się wydaje, że waszym, jakże młodym!, poprzednikiem jest Grochowiak. O wyprowadzenie całego rodowodu należałoby poprosić chyba Kazimierza Wykę. Bierzecie od Grochowiaka składnię, technikę, odrzucacie jego brutalizm i kult naturalistycznej brzydoty. Przynajmniej Pan. Pan się tego boi, dlatego Pan tak tęskni do czułości.

Ciebie nie będąc będzie już tkliwość
która jest we mnie na pewno ten dar

„My to nie wiem co chcemy" — tak u Pana napisane. Ale to nieprawda, bo Pan wie. Należy Pan do ludzi, którzy czują się dobrze tylko w krainie poezji. A jednak widzę zbieżność tej postawy, odczytanej z tych utworów, z postawami rówieśników. Wszyscy jesteście samotni, czujecie się zagrożeni, boicie się kontaktu ze światem, który was otacza. Pan jest może tylko bardziej od innych autentyczny.

To nie zarzut, to moja obserwacja, być może myląca, oparta na fałszywym rozumieniu poezji. Obawiam się tylko, żeby Pan nie zatrzymał się na początku drogi. Żeby nie żyć odkryciami raz dokonanymi, bo tego na długo nie starczy. W poezji, bardziej niż gdzie indziej, liczą się prototypy, nie odbitki. A u Pana czytam: „a tyle się kwiatów widzi jak schną jakby to jakiś Dante umierał albo ogrodnik". I drugi raz: „gdzie sale największe jak łóżka oddzielnie jakby co najmniej Homer miał spać albo i lepiej". Odkrycie powtórzone o jeden raz za dużo. W przeciwnym wypadku ileż zostaje porównań do dyspozycji?

Ale to margines. Wypada kończyć. W tylu słowach nie powiedziałem właściwie nic. Ktoś może mi zarzucić, że tak wynoszę poezję dopiero co poczynającą się. Czynię to z całą odpowiedzialnością i z przekonaniem, że na taką poezję można stawiać. Napisałem zapewne mało o jej minusach, „ale czy to może być źle"? Daruje mi Pan ten cytat, lepszego nie widzę.

Proszę przyjąć najlepsze życzenia.

Tadeusz Kłak

FRYDERYK SCHILLER

WALKA ZE SMOKIEM

Przełożył

STEFAN ZARĘBSKI

Cóż to za wrzawa? Zwartą rzeszą
Jakby do szturmu tłumy śpieszą!
Czy pożar w mieście? Rodus płonie?
Zdążają wszyscy w jedną stronę:
I widzę, górującą w tłumach,
Rycerza postać — rosły rumak
Pod nim, a dalej — co za dziwy?
Cielsko ogromne, pysk straszliwy:
Smok to o krokodylej paszczy —
Szczerzy się martwa i szeroka...
Zdumiony lud na przemian patrzy
To na rycerza, to na smoka.

I z ust tysięcy krzyk uderzy:
„Oto ta bestia, co pasterzy
Gubiła nam i żarła stada!
A oto mąż, co śmierć jej zadał!
Tacy nieustraszeni męże
Ruszali przeciw niej z orężem —
A żaden nie powrócił cały.
Oto bohater godzien chwały!"
I w wielką łącząc się gromadę —
Pod klasztor suną ciżbą taką.
Tam — zwołał już rycerską radę
Jana Chrzciciela Święty Zakon.

Dostojny Mistrz ze swego miejsca
Znak daje, aby wszedł zwycięzca.
Napływa z szumem lud ciekawy
Pośpiesznie zapełniając ławy —
A młodzian z czcią ku braci zmierza:
„Spełniłem — powie — rzecz rycerza!
Smok, co pustoszył owe ziemie,
Padł powalony mym ramieniem.
Wolne już dla wędrowca drogi,
Bezpieczny pasterz z trzódką swoją.
I pątnik już przed święte progi
Niechaj udaje się w pokoju."

Powagą słowo Mistrza tchnęło,
Gdy rzekł: „To bohaterskie dzieło.
Mężny duch w twojej piersi żywie
I sławę weźmiesz sprawiedliwie.
Lecz wymień pierwszy obowiązek
Tych, których ślub zakonny wiąże,
A szatę zdobi godło boże!"
Cisza zrobiła się w klasztorze —
Gdy ów z szacunkiem czoło zniża,
Cichymi odpowiada słowy:
„Pierwsza rzecz służebników krzyża
To posłuszeństwo Zakonowi."

„A z tym, mój synu — kończy starzec —
Nie poszło twoje męstwo w parze:
Skoroś zuchwale z mieczem stawał —
Zakpiłeś z zakonnego prawa!"
„Wiesz, panie, wszystko, więc mnie osądź! —
Odpowie młodzian głowę wznosząc —
Mniemałem jednak przed tym bojem,
Że uszanuję prawo moje.
Bom nie poczynał jak zuchwalce,
Gdym bestii zastępował drogę:
Strategię mądrą ceniąc w walce
Wiedziałem — jak i czym ją zmogę.

Przez swoją zapalczywość śmiałą
Pięciu już życie postradało —
Sług bożych, godnych tego miana:
Odtąd twój zakaz walki wzbrania.
Lecz zakaz chęci nie przesądza:
Płonęła we mnie czynu żądza!
Bywało — nieraz całe noce
Śnię, że z potworem się szamocę —
A ranek nową grozę wieścił
I nowa rozpacz przybywała,
Każdy zaś powód tej boleści
Nagli mnie, abym szybciej działał.

Tak sam ze sobą rozprawiałem:
Z czegóż mężczyzna czerpie chwałę?
Czymże to sławni są herosi,
O których pieśń pogańska głosi,
Których, hołd im oddając szczytny,
Jak bogów czcili starożytni ?
Cześć ową z tego przecież biorą,
Że przeciwiali się potworom:
Bo szli do boju równie szczerze
Czy to na lwa, czy Minotaura,
Aby z pomocą przyjść ofierze —
Młoda ich krew do czynu parła!

Czyż godni jeno Saraceni,
Aby ich miecz zakonny pienił?
Mają go tylko znać pogany?
Przecież on światu jest zesłany
Jako obrona — twarde ramię,
Co wszelkie zło, moc wszelką łamie.
Lecz cóż waleczność, cóż odwaga,
Jeśli jej rozum nie wspomaga?
Dumałem tak i, śledząc zwierza,
Chodziłem nieraz jego śladem —
Aż naraz we mnie myśl uderza
Olśnieniem nagłym: Dam mu radę!

Wtedy to prośbę ci przedłożę,
Abyś pozwolił mi za morze,
W rodzinne strony... I niebawem
Biły już fale w moją nawę...
Na ziemi ojców wreszcie stanę.
Zaraz tam, zgodnie z moim planem,
Mozolnie majstra dłoń się pora
Sztucznego tworząc mi potwora.
Wielki, podłużny kształt kadłuba
Nóżki mu podpierały kuse,
Chroniła grzbiet powłoka gruba
Pancerza z rogowatych łusek.
Na szyjsku długim paszcza wściekła,
Szeroka niby wrota piekła —
Rozdziawia się, odkrywa do dna
Gardzieli głąb — zdobyczy głodna:
A dobrze widać w czarnej głębi
Obręgi szczęk z ostrymi zęby

I jęzor niby miecz ze szpicem.
W oczkach maleńkich — błyskawice,
A cielsko grube — cieńsze potem —
Wężem kończyło się w ogonie,
Który potężnym swym oplotem
Objąłby jeźdźca razem z koniem.

Dokładnie, wiernie wszystko czynię,
Więc jeszcze go umażę w glinie —
Że zda się smokiem, a zarazem
Z błota wyrastającym głazem.
Potem, gdy kolos wykonany,
Dobieram sobie dwa brytany —
Tęgiej budowy, w biegu żwawe,
Co z turem już miewały sprawę —
Szczuję na smoka i tak drażnię,
Aż w końcu rozjuszone, dzikie,
Pieniąc się — skoczą nań odważnie,
A ja popędzam je okrzykiem.

Brzuch bestii miękki włos osłaniał —
To było miejsce do kąsania!
Tam psy kieruję — cel pokażę,
Gdzie wtopić mają kły poczwarze.
Sam, zbrojny w dzidę z długim ostrzem,
Powoli toczę mym wierzchowcem
(Arabska krew, szlachetne zwierzę),
A kiedy w nim gorączka wzbierze —
Daję mu jeszcze po ostrodze
I wnet na smoka ewałem wpada —
A ja już w niego włócznią godzę,
Jakbym w żywego godził gada.

Lecz naraz rumak stanie dęba
I parska, zgrzyta z pianą w zębach,
Zaskomlą psy: więc znów do boju
Napędzam, gnam — aż się oswoją
I użyć dadzą niezawodnie.
Tak ćwiczę z nimi trzy tygodnie,
A gdy we wszystko dobrze wdrożę —
Z powrotem puszczam się na morze.
Oto dzień trzeci słońce chyli,
Jak okręt dobił do wybrzeży:
I nie odpocznę od tej chwili,
Póki nie spełnię, com zamierzył.

Bo mocno sercem mym zatarga
Świeża narodu tego skarga:
Znów zabłąkany gdzieś na bagnie,
Pasterz — ofiarą smoka padnie.
Więc karać muszę, bić mordercę —
Pośpiech mi nakazuje serce!
Giermkowie moi już gotowi,
I już mojemu arabowi
Wypuszczam wodze — dwa brytany
Za mną — nieznana moja droga
I czyn mój może być nieznany —
Lecz śpieszno mi, by spotkać wroga.

Znasz, panie, ów kościółek mały
Wysoko, na wierzchołku skały,
Skąd wyspę całą ujrzeć można.
Wzniosła go kiedyś dłoń pobożna.
Blaskiem otoczył tę świątynię
Obraz, który cudami słynie:
Maria do piersi Synka tuli,
A On przyjmuje hołd trzech króli.
Długo na strome pnie się stopnie
Wędrowiec, nim na szczycie stanie,
Lecz trud nagradza mu stokrotnie
Z tym miejscem świętym obcowanie.

U stóp tej góry, przy moczarach,
Głęboka w skale jest pieczara:
Promień tam nie dochodzi żaden,
Jedynie wilgoć z owych bagien.
W niej mieszkał smok: u wejścia leżąc
Czuwał i węszył za grabieżą —
Jak piekła stróż — a Bóg mu każe
Przed Domem swoim pełnić straże...
I gdy się pielgrzym tam zapuści
I zwróci ku nieszczęsnej stronie —
Wypada nagle z tej czeluści
I wnet ofiarę swą pochłonie.

Najpierw, nim stanę wobec zwierza,
Pod górę, ku świątyni zmierzam.
Tam się przed Panem moim kruszę
I, z grzechów oczyściwszy duszę,
Chłonę przybytku tego spokój.
Przypaszę potem miecz do boku
I dzierżąc w dłoni dzidę moją —
W dół schodzę, gotów już do boju:
Odejść kazałem swej drużynie,
Ostatnich dokonawszy zleceń —
Dosiadłem konia — już jedynie
Boskiej oddając się opiece.

A ledwiem zjechał z ostrych zboczy —
Wnet para mych brytanów skoczy
I prychać zacznie, drżeć mój kary,
Dęba wspiął, kopytami zarył —
Bo oto tuż — bezkształtną bryłą
Ogromne cielsko się kłębiło
Smoka, co wyległ snadź na słońce.
Dopadły go już psy ziejące —
Ale niechają go z pośpiechem,
Gdy wtem straszliwy pysk rozwali
I tchnie zatrutym swym oddechem
I ryknie głosem swym szakalim.
Jednak odwagę ich rozgrzałem —
I z nowym rzucą się zapałem,
Gdy ja tymczasem włócznię wzniosę
I rażę go potężnym ciosem:
Wytrzymał przecie pancerz smoczy —
Jak kij żelazo mi odskoczy...
A oto, zanim rzut ponowię,
Strachem przejęty mój wierzchowiec,
Gdy spotka oko bazyliszka
I dech trujący go zamroczy —
Wspina się i do tyłu ciska.

Wtedy mi śmierć zajrzała w oczy —
Lecz skok z rumaka mnie ochroni...
Nacieram teraz z mieczem w dłoni!
I znów na próżno stal uderza —
Nie może przebić miecz pancerza.
A nagle — zwierzę podrażnione
Na ziemię zwala mnie ogonem.
Już straszną paszczę widzę z bliska,
Szczęki rozwarte, i zębiska —
Gdy moje psy w ostatniej chwili
Doskoczą doń i w brzuch — zajadle —
Zatopią kły — aż się przechylił
I zawył od boleści nagłej.

A teraz, gdy uwagę gada
Psy zaprzątnęły — ja dopadam!
Dobrze wypatrzę cel tym razem —
I pchnąłem, wchodząc mu żelazem,
Aż po rękojeść w ścierwo brzucha.
Czarnym strumieniem krew wybucha —
A on się wali — i w impecie
Mnie zwala, cielskiem tak przygniecie,
Że nagle w noc zapadłem ciemną...
Gdy znowu mi przebłysną świty —
Patrzę: pachołki me nade mną,
A obok leży smok. Zabity!"

W milczeniu słuchał tłum rycerza —
Teraz dopiero krzyk uderza
W klasztoru rozległego ściany:
Entuzjazm — dotąd hamowany —
Wzbierając w podziw i uciechę
Przetacza się potężnym echem.
Zakonna brać radośnie woła
By laur przydać mu do czoła,
I chciałby tłum nad swoją głową
Ludom go ukazywać wokół —
Ale Mistrz ściągnął brwi surowo
Skinieniem nakazując spokój —

I rzecze: „Smoka, który nękał
Tę ziemię — dzielna zmogła ręka.
Bogiem cię uzna rzesza mnoga,
Lecz Zakon widzi w tobie wroga!
Bo z twego ducha się poczyna
Groźniejsza niż ten smok gadzina —
Wąż, co zaprawi serce jadem,
Bunt wznieci, ugruntuje zdradę —
Przekory duch — to on, niesforny,
Zrywa, co święty związek splata,
Narusza prawa, gwałci normy:

Z niego są burzyciele świata!
Poganin też się dzielnie bija:
W karności siła jest chrześcijan!
Tam — gdzie, przy swoim majestacie,
Chrystus w prostaczej chadzał szacie —
Święty nasz przodek ustanowił
Rygor należny zakonowi.
Ale rygorom się nie nagnie
Kto swoich nie poskramia pragnień.
Zwiodła cię sławy zgubna droga,
Z naszego grona odejdź zatem!
Kto nie chce chodzić w jarzmie Boga —
Nie wart, by nosił ową szatę".

Podniosą tłumy wrzawę dziką —
Klasztor aż zatrząsł się od krzyku,
O przebaczenie prosi Rada:
Lecz młodzian strój zakonny składa,
Pochyla głowę — i bez słowa
Dłoń Mistrza swego ucałował —
Odchodzi. — A surowy starzec
Łagodną naraz twarz pokaże —
Z uśmiechem przyzwie: Pójdź, mój synu,
Weź szatę, odbierz godło boże:
Wielkiego dokonałeś czynu —
Zwycięstwo twoje w twej pokorze" *)

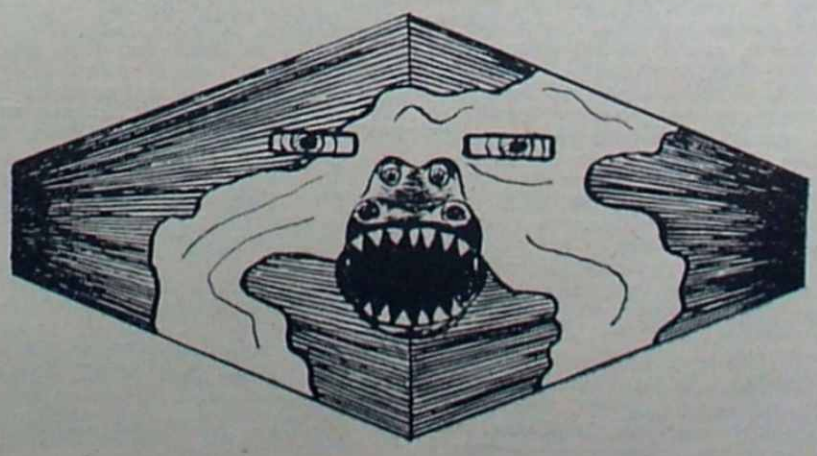

*) *Ballada Schillera której temat zaczerpnięty jest z historii zakonu maltańskiego, zawierająca charakterystyczny dla okresu „Sturmu i Drangu" konflikt między prawami społeczności a samowolą jednostki, została przetłumaczona po raz pierwszy w 1844 r. przez Adama Gorczyńskiego.*

Cześć jej imieniu

(Dokończenie ze str. 2)

— to cały dorobek pisarski Morzyckiej. Na próżno szukalibyśmy jej nazwiska w podręcznikach historii literatury, która nie zaliczyła jej w poczet pisarzy. Nie jest to zresztą fakt ją krzywdzący.

Pozycję Faustyny Morzyckiej w historii utrwaliła jej praca społeczna i oświatowa głównie w środowisku nałęczowskim.

W roku 1905 grono inteligencji nałęczowskiej skupione wokół Stefana Żeromskiego rozpoczyna ożywioną działalność najpierw w ramach Macierzy Szkolnej, później — skoro zaczęły w organizacji tej górować elementy endeckie — tworzy odrębną organizację pod nazwą „Światło" zbliżoną ideologicznie do ówczesnych kół lewicowych. Morzycka bierze czynny udział we wszystkich akcjach stowarzyszenia. Już w roku 1905 zakłada w willi „Tolin" własną szkołę, która od chwili powstania „Światła" pracuje pod jego patronatem. Współpracują tu z nią: Helena Dulębina, Janina Decyuszówna i Felicja Sulkowska.

Nazwisko Morzyckiej figuruje również na liście kierowników kursów dla nauczycieli ludowych zorganizowanych przez Żeromskiego i współpracowników w willi „Oktawia".

W tym czasie też powstaje w Nałęczowie uniwersytet ludowy; w gronie wykładowców znajdzie się znów Faustyna Morzycka, prowadząca wykłady z zakresu krajoznawstwa, pedagogiki i historii literatury.

Współpracuje nadto z nałęczowskim teatrem amatorskim, prowadzi dziecięcy zespół teatralny, który wystawia w tym czasie Konopnickiej o KRASNOLUDKACH i SIEROTCE MARYSI z udziałem m. in. Adasia Żeromskiego.

Obraz działalności Morzyckiej w tym okresie byłby niepełny, gdybyśmy nie wspomnieli o jej kontaktach z PPS i Polskim Związkiem Ludowym. Udziela pomocy rannym, ułatwia ucieczkę z więzienia na lubelskim zamku aresztowanym działaczom ruchu rewolucyjnego. Tą działalnością najbardziej skierowuje na siebie podejrzliwe oczy carskiej policji. Zostaje aresztowana, a następnie wydalona poza granice Królestwa. Ostatnie chwile życia spędza w Krakowie, współpracując nadal z działaczami PPS i organizatorami uniwersytetów ludowych, kontynuuje też pracę pisarską. Tu kończy życie 25 maja 1910 roku.

Nazwisko Faustyny Morzyckiej, aczkolwiek rzadko dziś przypominane, zapisało się trwale w historii ruchu oświaty ludowej, na terenie Nałęczowa w szczególności. O jej wysokich walorach i zasługach świadczy wypowiedź jej ideowego patrona, Żeromskiego. Wspominając ostatnie chwile ożywionej pracy nałęczowskich działaczy napisał m. in.

„Wreszcie pełen wóz żandarmów i zbirów zajechał do szkoły na Pałubach" i w biały dzień porwana została nauczycielka, panna Faustyna Morzycka — której imię niech będzie zawsze we czci!"

Stanisław Fita

Z LAT SZKOLNYCH

EDWARD KOZIKOWSKI

Gdy po zakończonym strajku szkolnym w 1905 roku znalazłem się w klasie trzeciej Gimnazjum gen. Pawła Chrzanowskiego w Warszawie, nie mogłem się nadziwić, że panująca w uczelni atmosfera jest tak diametralnie różna od tej, w jakiej dotąd przebywałem. Szkoła rosyjska, do której chodziłem przez trzy lata, pozostawiła w każdym uczniu osad szczególnego gatunku. Była to mieszanina uczuć poniżenia i bezradności, lęku i tajonej do zaborcy nienawiści. Wracałem ze szkoły do domu, szczerząc zęby jak wilczę świadome swej bezsilności. Miotałem się po mieszkaniu i nie mogłem znaleźć sobie miejsca, strofowany przez babkę, zwolenniczkę „pracy organicznej", a dla odmiany uspokajany znów przez matkę, której perswazje, oparte na romantycznych przesłankach, daleko bardziej trafiały mi do przekonania.

Po odrobieniu lekcji wolny czas poświęcałem zazwyczaj na lekturę ulubionych książek polskich. Rozczytywałem się najchętniej w powieściach Przyborowskiego, opiewających czasy wojen napoleońskich, przeżywałem bohaterskie wyczyny różnych Staszków i Janków i to przynajmniej odrywało myśl od ponurej rzeczywistości, z którą stykaliśmy się co dzień w szkole carskiej.

Wchodząc po raz pierwszy w progi okazałego gmachu przy ulicy Smolnej, nie zdawałem sobie jeszcze sprawy, jaka będzie ta szkoła polska, ale wiedziałem na pewno, że panować w niej będzie język polski. Rzeczywistość zresztą przeszła wszelkie oczekiwania i stała się dla mnie i podobnych do mnie chłopców rzeczywistością radosną.

Trudno dziś, po latach pięćdziesięciu kilku, opisywać, z jakim uczuciem przeżywaliśmy tę dokonywającą się na oczach naszych zmianę, zważywszy, że tkwiliśmy po uszy w tej rzeczywistości, byliśmy jej częścią składową. To przejście z jednej rzeczywistości do drugiej, tak odmiennej i innej, było dla nas, stawiających pierwsze kroki w życiu, łaską losu, której znaczenia naówczas nie doceniliśmy, a która — oglądana dziś z perspektywy czasu, nabiera szczególnego wyrazu i staje się wydarzeniem na miarę niezwykłą.

Klasa trzecia „d", w której się znalazłem liczyła ponad pięćdziesięciu uczniów. Sąsiadem moim w ławce był chłopiec niewielkiego wzrostu o śniadej twarzy i kruczych włosach. Nazywał się bodaj Wojnarowski lub Wojnarowicz. Kolegowałem z nim niecały rok, później straciłem go z oczu i więcej go już nie widziałem. Upamiętnił się z tego, że chciał mi sprzedać komplet pierwszych numerów „Świata", wychodzącego w tym czasie pod redakcją Stefana Krzywoszewskiego. Zaczynałem wtedy ulegać pasji zbierania czasopism i książek i to prawdopodobnie skłoniło sąsiada mego z ławki do wystąpienia z tego rodzaju propozycją. Większość nazwisk kolegów zatarła mi się w pamięci. Przypominam sobie jedynie braci Garbowskich, Jackowskiego czy Jackiewicza, Olińskiego, Matrasia rodem z Biłgoraja (ten utkwił jakoś mocniej w pamięci! Widocznie z powodu dość oryginalnego nazwiska i nie mniej oryginalnej nazwy miejscowości!) i Melchiora Wańkowicza, dziś wziętego autora i uroczego gawędziarza. Z osobą Wańkowicza związała mnie wspólna sprawa. Pozazdrościwszy rozgłosu i sukcesów redaktorom pisemka „Osa", wydawanego przez czwartoklasistów, postanowiliśmy — Wańkowicz i ja — przystąpić do wydawania satyrycznego pisemka „Żmija". Odbijano je sposobem hektograficznym w zakładach litograficznych Bukatego przy ulicy Wspólnej w pobliżu Marszałkowskiej. Żywot pisma był krótki. Po dwóch numerach „Żmija" przestała wychodzić...

W tej pierwszej szkole polskiej owionął nas z miejsca podmuch wolności i nie będzie przesadą, gdy powiem, że czuliśmy, jak u ramion wyrastają nam skrzydła. Szkoła ówczesna była odbiciem tych wszystkich przemian, jakie zachodziły w życiu narodu pod zaborem rosyjskim. Wolność prasy trwała wprawdzie krótko, niemniej objawiła się w sposób tak żywiołowy, że nieraz przecierano oczy, zastanawiając się, czy aby wydarzenia, których byliśmy świadkami, nie zachodzą w śnie. Przez szereg tygodni na przykład wychodził całkiem legalnie „Kurier Codzienny" jako organ oficjalny PPS, która jak — wiadomo — działała wtedy konspiracyjnie. Adres redakcji, mieszczącej się na Krakowskim Przedmieściu pod Nr 17, podawano w nagłówku pisma. Nic dziwnego, że i w szkole owe dążenia do swobodnego wypowiadania myśli i uczuć znajdowały wyraz w postaci różnych pisemek i ulotek.

Zarysowujący się z grubsza podział społeczeństwa na dwa obozy, i tu, wśród młodzieży szkolnej, objawił się w całej pełni. W czasie dużej przerwy lub wolnej lekcji klasa trzecia „d", podzielona na dwa odłamy, śpiewała równocześnie „Boże coś Polskę" i „Czerwony Sztandar", przy czym jedni starali się za wszelką cenę przekrzyczeć drugich. Zapewne, niejednokrotnie nadużywaliśmy wolności, pęd do której ogarnął kraj cały, i przekraczaliśmy granice umiaru i przyzwoitości. O przykład z tamtych czasów nietrudno. Łacinnikiem naszym był niejaki Rosicki, mizantrop, nudziarz, fafuła, nie lubiany przez klasę i nie dostrzegający swoich przywar. Dość często dochodziło do scysji między nim a nami, głównie z powodu niesprawiedliwych ocen. Uczniowie wtedy podnosili nieprawdopodobny tumult. Krzyczano, gwizdano i w harmidrze tym Rosicki zabierał dziennik i opuszczał klasę, zapowiadając z reguły, że nigdy już do nas nie wróci. Aliści po kilkunastu minutach, gdy wrzawa opadła, drzwi się uchylały, ukazywała się w nich głowa Rosickiego i padało stereotypowe zdanie: — „Cóż, uspokoiliśa się, bydlaki!" Po tych słowach Rosicki wkraczał do klasy i jakby nigdy nic następował dalszy ciąg lekcji. Pewnego dnia wszakże doszło do niesłychanej burdy. Jak zwykle poszło o niesprawiedliwie postawione stopnie. Jak na komendę podniósł się trudny do opisania hałas. Bito książkami w pulpity ławek, rozlegały się niezamowite krzyki i gwizdy. Rosicki, blady jak trup, bez słowa opuścił klasę i tym razem — o dziwo! — więcej się już nie zjawił. Po pewnym czasie dopiero nadbiegł dyrektor ówczesny — Włodzimierz Włodarski i po wysłuchaniu relacji ze strony dyżurnego klasy wyraził ubolewanie z powodu zajścia, wezwał młodzież do zachowania spokoju i oświadczył, że sprawa zostanie rozpatrzona na sesji pedagogicznej.

W kilka dni potem przyszedł do nas w towarzystwie dyrektora młody, niewielkiego wzrostu, o sympatycznej powierzchowności nauczyciel. Był to Stanisław Szober. Późniejszy językoznawca i autor świetnej „Gramatyki języka polskiego" został nauczycielem łaciny w naszej klasie i od razu zjednał sobie sympatię wszystkich uczniów. Okazało się, że nie byliśmy tacy najgorsi, za jakich nas miano na skutek incydentu z Rosickim. Zgodne współżycie z nowym łacinnikiem obaliło z czasem złą o nas opinię i utrwaliło inną, stwierdzającą, że objawy niesforności można łatwo zniwelować przy odpowiednim postępowaniu nauczyciela. Profesora Szobera wspominam z wyjątkowym rozrzewnieniem. Polubiliśmy się wzajemnie, zwłaszcza po przedstawieniu teatralnym „Debiutantki", którą wystawiliśmy o własnych siłach w szkole. Grałem w tej jednoaktówce rolę woźnego teatru i podobno wywiązałem się ze swego zadania doskonale. Obecny na przedstawieniu prof. Szober wbiegł za kulisy, gdy spektakl dobiegł końca, porwał mnie w objęcia, ściskał i całował, nie dając mi złapać tchu. Od tej pory zaskarbiłem sobie jego względy, o czym nigdy nie marzyłem, i otrzymywałem z łaciny stopnie dobre, chociaż nie zawsze na to zasługiwałem. Po wielu, wielu latach — w okresie międzywojennym — przypomniałem mu przy jakiejś okazji o tym wydarzeniu teatralnym i widziałem, że sprawiło mu to dużo zadowolenia. Twarz zajaśniała mu promiennym uśmiechem, tym dawnym uśmiechem z lat szkolnych, wziął mnie znów w ramiona, uściskał i ucałował, jak przed laty.

Antytezą Szobera był Ignacy Dąbrowski, autor „Felki" i „Śmierci", który uczył nas geografii. Siedział zawsze jakby nastroszony, przypominając pokutującą w czasie dnia sowę, zachowywał się powściągliwie, nie wdawał się w żadne dyskusje uboczne, a jeśli zabierał głos, to jedynie na temat geografii. Pamiętam jego rękę ze zgrubiałymi nadmiernie w zakończeniach palcami, przypominającymi jakby macki. Zakrywając nią miejsca na mapie, wiszącej obok katedry, dopytywał się wywoływanych do tablicy uczniów, jakie miejscowości czy rzeki znajdują się w obrębie zakrytego dłonią odcinka i czym odznaczają się omawiane tereny. Na lekcjach jego panowała wyjątkowa cisza. Z początku trudno mi było zorientować się, dlaczego tak jest, a nie inaczej. Później dopiero dowiedziałem się, że Dąbrowski był ciężko chory na płuca i że dyrektor Włodarski uprzedził o tym klasę i prosił, abyśmy nie pozwalali sobie na żadne nieopatrzne wybryki.

Takie to były czasy, tacy nauczyciele i tacy uczniowie.

Droga pokolenia

BOHDAN KRÓLIKOWSKI

Twórczość Eryka Marii Remarque'a *) jest wiernym odbiciem procesów dziejowych zaszłych podczas obu wojen światowych i pomiędzy nimi w Niemczech, a po części i w reszcie Europy. Prawie wszystkie jego książki stanowią jeden wielotomowy cykl powieści. Cykl, którego pooszczególne człony łączą się ze sobą, zazębiają, uzupełniają.

Pierwsza grupa utworów („Na zachodzie bez zmian", „Droga powrotna", „Trzej towarzysze" i „Czarny obelisk") obejmuje kolejno tematykę wojny, powrotu z pola walki i pierwszych lat pokoju. Problematyka tych powieści implicite związana jest z zagadnieniem wojny i piętna, jakie wyciska okres spędzony w okopach na całym dalszym życiu człowieka. Bohaterami wymienionych czterech powieści są w zasadniczym zrębie ludzie bardzo młodzi. Ludzie, których wojna wyrwała brutalnie prawie z dzieciństwa, rzucając młodych chłopców prosto z ławy szkolnej w piekło okopów.

„Na zachodzie bez zmian" to ich Iliada — okres, w którym po fazie entuzjazmu przychodzą długie lata ciężkich, nieludzkich walk, trudów zdolnych człowieka złamać, zgnieść, uczynić zeń automat do strzelania, walki na bagnety i rzucania granatami. Powrót do życia po zakończeniu wojny to Odyseja niedobitków, którzy w „Drodze powrotnej" błąkają się w sensie moralnym nie mogąc znaleźć dla siebie miejsca w świecie, który opuścili jako pełna zapału i złudzeń młodzież; w świecie, do którego nie mogą trafić jako ludzie dorośli, oszukani i zmęczeni. W „Czarnym obelisku" i w „Trzech towarzyszach" ukazuje Remarque epilog jakby tej Odysei brutalnej i niepoetycznej. Wojenni rozbitkowie ukazani są tu jako ludzie, którzy nie mogą wrosnąć trwale w glebę, z której zostali wyrwani. Co więcej wypadli z kolejki; są już wypierani przez młode pokolenie, dla którego wojna jest nadal przygodą uroczą, ponętną, a nie krwawą i odrażającą.

Nie czują również łączności z pokoleniem starszym. Przegrana wojna, zetknięcie się z brutalną rzeczywistością pruskiej armii, zabija patriotyzm, budzi obojętność dla spraw społecznych, brak zaufania do polityki, do mężów stanu. Co więcej, nie widzą nigdzie potępienia rzezi, nie słyszą potwierdzenia swego wstrętu do niepotrzebnej walki. Religia nie jest również oparciem dla tego pokolenia wojennych niedobitków. Widzieli jak przed wyruszeniem na front duchowni wszystkich wyznań, zamiast zabronić swym wiernym udziału w walce, błogosławili ich karabiny. Czują oni bezskuteczność, więcej: nonsens takiej modlitwy. Rozczarowanie do Kościoła wystarcza, by stracić wiarę. Nie tylko zresztą wiarę pojmowaną po kościelnemu. Bohaterowie omawianych książek tracą wiarę w wszystkie nieomal konstruktywne ideały — stają się cynikami, dla których większość spraw tego świata to Universalschwindel — jedna wielka lipa, mówiąc dzisiejszym językiem młodzieżowym.

W „Na zachodzie bez zmian", „Drodze powrotnej" i w „Czarnym obelisku", a także częściowo w „Trzech towarzyszach" nie krew, trupy i kalectwo są najgorszą pozostałością wojny. Stokroć gorszy, trwalszy, trujący ślad zostawia ona w psychice uczestników. Dlatego też mottem chyba całej twórczości Remarque'a może być króciutki wstęp do pierwszej jego książki, który tu przytaczam in extenso: „Książka ta nie chce być ani oskarżeniem, ani wyznaniem wiary. Podejmuje próbę świadczenia o pokoleniu, które wojna zniszczyła, gdy nawet uszło przed jej granatami".

*

Tematem „Łuku triumfalnego" i „Kochaj bliźniego" są losy pariasów Europy w latach trzydziestych — emigrantów politycznych z Trzeciej Rzeszy. Te dwie książki również można nazwać Odyseją, lecz Odyseją w odwrotnym kierunku — nie do domu, lecz z domu, na wieczną tułaczkę.

Wymienione powieści to dwa etapy życia emigrantów. Książka nazwana jak na ironię bożym wezwaniem do miłości, zawiera wszystko co właśnie miłości bliźniego przeczy. Tragiczna Odyseja niezliczonych przerzutów przez granice, strachu przed policją, jest obrazem pierwszej jakby fazy życia emigrantów. Okresu chaotycznych poszukiwań kraju, który by ich przygarnął. Ale takiego kraju nie ma. Wszystkie państwa, w których przytułek znaleźć pragną bohaterowie „Kochaj bliźniego", mają dla nich więzienie, policję, zamknięte granice, a w drodze wyjątkowej łaski zezwolenie na kilkutygodniowy pobyt bez prawa do pracy. Bohaterowie tej książki żyją w warunkach, w jakich można zupełnie stracić wiarę w ludzkość. Spotykają zimne okrucieństwo i bezmyślne, zwierzęce wykorzystywanie ich bezsilności, lękliwe współczucie i rzadko, bardzo rzadko odruchy pomocy.

Drugi etap włóczęgi to dla części „szczęśliwych" namiastka stabilizacji. W „Łuku triumfalnym" autor ukazuje próby tej stabilizacji, bardzo zresztą względnej i kruchej, przerywanej przy lada okazji przez czynniki oficjalne „słodkiej Francji".

→

*) Na zachodzie bez zmian — 1930
Droga powrotna — 1931
Łuk triumfalny — 1947
Czarny obelisk — 1956
Kochaj bliźniego — 1959
Czas życia i czas śmierci — 1959
Trzej towarzysze — 1959

ANDRZEJ TCHÓRZEWSKI

motyw jakby z morsztyna

byliśmy
do siebie przywarci
jeszcze bardziej do ziemi
bo zanurza swą doskonałość
w odmęcie oczu

chłód może zstąpił z krużganków
jego smuga
usta w krwawienie wprawiła
tryumfy okrągłości
barok
nade wszystko zamykający okna
ażeby nie usiłowali nas dostrzec
na starym dziedzińcu
przed pagórkiem
(zanim słońce tańcuje ze śmiercią)
aniołom różowieją freski
rankiem
wyjdzie eos
tuż przed tramwajami

nikt nie znajdzie śladu naszej nocy
ona w murze tkwi —
kwiat pamiętania

U. JACKOWSKA

*
* *

Notuję
brzeg morza
piasek
woda

pozwólcie mi nie pamiętać

Notuję
ślad stopy na piasku jest lekki
jak wiatr o wiosennym zmierzchu
ma skrzydła
i pierwiosnki między odciśniętymi
palcami

pozwólcie mi nie umierać

Notuję
twarzy pochylonej nad spokojną falą
nie znajdziesz
ani na jej powierzchni
ani na jej dnie

pozwólcie mi nie krzyczeć

W ŁUCKU

JANUSZ DANIELAK

Kiedy przekraczam jakąś granicę, ogarnia mnie zawsze uczucie niepokoju. Nie jest to jednak obawa przed celnikami niestety, choć Polak — do handlu się nie nadaję. Jest to raczej niepokój radosny. Jakieś oczekiwanie na coś, chyba na przygodę. To się zresztą zawsze sprawdzało — przygodą jest już przecież nowy krajobraz, dźwięk obcej mowy.

Tym razem jednak — gdy w czerwcu, koło Hrubieszowa, przekraczałem wraz z zespołem lubelskiego teatru granicę Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej — te przygody mnie nie spotkały. Pejzaż podobny — choć z zasadniczą poprawką: nie poprzecinany miedzami, (ale drogi mogą śmiało i skutecznie konkurować z naszymi). Dźwięk mowy — inny, ale przecież łatwo zrozumiały bez żadnych filologicznych przygotowań. I sam Łuck — z początku — z rozkopanymi jezdniami (zakładano gaz) — zdawał się także dalszym ciągiem tych podobieństw. Na niektórych bardzo ucierpiał poczciwy teatralny autobus, „Romeo".

Za to na pewno przygodą — od początku do końca naszego pobytu — była serdeczna, zniewalająca wręcz gościnność gospodarzy.

Bliższe poznanie Łucka też obfitowało w atrakcje. Niektóre może błahe, dla mnie jednak fakt, że nawet przy jarzeniowym świetle nie znajdzie się tam na ulicy ani jednego niedopałka papierosa (chyba, że my...), jest faktem poważnym, prawie równie poważnym, jak imponujące plany rozwoju miasta.

Łuck ma obecnie 50 tysięcy mieszkańców. Więcej niż przed wojną, choć właśnie w czasie wojny miasto zostało bardzo zniszczone. Cała obecna ulica Lenina — główna ulica Łucka — odbudowana została z gruzów.

Jednak warunki mieszkaniowe są wciąż nie najlepsze. Budownictwo na wielką skalę rozpoczyna się dopiero teraz.

Któregoś dnia byłem z wizytą, jak najbardziej prywatną, zwyczajną, przemiłą, u redaktora naczelnego łuckiego Radia (nawiasem — jego żona jest Polką, z bydgoskiego...). Rozmawiało się o wszystkim, dużo o muzyce.

Igor mieszka już w nowym osiedlu. Przez okno widać było transparent. I w jakimś tam momencie rozmowy Igor przeczytał: „W roku 1960 zbudujemy w Łucku 52 tysiące metrów kwadratowych izb mieszkalnych". Otóż wtedy pierwszy raz w życiu przekonałem się, że można tekst transparentu przeczytać tak zwyczajnie, prywatnie, z osobistą dumą. Chciałbym ,żeby i u nas umiało się tak czytać transparenty.

Za pięć lat ludność Łucka ma się podwoić. Niewątpliwie przyczyni się do tego budowa wielkiego kombinatu obuwniczego i fabryki mebli.

Łuck jest miastem wychylonym w przyszłość. Czasem aż do granic paradoksu. Na pięknym wzgórzu obok Starego Miasta wznoszą się rozłożyste, dobrze zachowane mury średniowiecznego zamku Lubarta. Na wieży tego zamku — umieszczono maszt przekaźnikowej stacji telewizyjnej... Jednak gospodarze zdecydowali już, że tu — trzeba ustąpić miejsca przeszłości. Nowa, o wiele silniejsza stacja, zbudowana zostanie gdzie indziej — już za rok.

Prawdę mówiąc nie spodziewałem się w Łucku jakiegoś spotkania z literaturą. Ostatecznie Łuck jest trzykrotnie mniejszy od Lublina. Wychodzi tylko jedna gazeta. Rozgłośnia radiowa jest więcej niż skromna (przy ulicy Słowackiego; jest w Łucku także ulica Chopina, Matejki, Kołłątaja, Kopernika). Tymczasem — w Łucku działa grupa młodych poetów, mają już sporo wydanych (we Lwowie) zbiorków poezji. Pracują jednocześnie jako dziennikarze w redakcji miejscowej gazety. Ale Petro Mach jest niedobrym dziennikarzem. Ileż to gromów ciśnięto w niego (dyrektor Torończyk i aktorzy) za systematyczne spóźnianie się na umówione spotkania. Wybaczmy jednak poecie... Gdy się nie umawiał, przychodził punktualnie.

Niedawno Petro Mach był przez kilka tygodni w Polsce. Wkrótce ma się ukazać tomik, poetycki pamiętnik z tej podróży, zatytułowany „Melodie przyjaźni".

Drugi młody poeta, Aleksander Bogaczuk, też bardzo interesuje się Polską, naszą literaturą — w tym roku wydaje tom przekładów z poezji polskiej. Było o czym rozmawiać. Mamy w Łucku wielu serdecznych przyjaciół.

Naszym przyjacielem, ale już nie dzięki literaturze, stał się także Sasza z dalekiej Mołdawii. Troskliwy Sasza, który zawsze dbał, żeby nawet wówczas, gdy Łuck tonął w potokach deszczu, dla nas — było słońce. Przywiózł je ze sobą z Mołdawii, kilkaset kilometrów, w ogromnych, hektolitrowych beczkach i rozdzielał je hojnie na kołchozowym rynku. Odwiedzaliśmy go tam codziennie. Gdy raz nie przyszliśmy, był bardzo zaniepokojony. I nie myślcie, że chodziło tu o te trzy ruble za szklankę doskonałego mołdawskiego wina. Nie. W dniu wyjazdu, po zakupieniu różnych odkurzaczy (zespół teatru mógł po powrocie do Lublina z powodzeniem zorganizować wystawę techniki radzieckiej — od budzika do sputnika nieladwie), mieliśmy już absolutnie puste kieszenie. Omijaliśmy więc z daleka życiodajną beczkę. Zostaliśmy jednak wezwani i napojeni gratisowo. Uroczy był Sasza.

Czas zajść do teatru. Połączone to zresztą było z trudnościami, bo podczas wszystkich dziesięciu spektakli naszego teatru sala była wypełniona bez reszty. Dziesięć spektakli: — dwa — „Pierwszego dnia wolności" Kruczkowskiego, cztery — „Przygody florenckiej" Morstina i cztery — „Igraszek trafu i miłości". Wybór tych sztuk — rzecz dyskusyjna, ale darujmy to sobie, dość się nadyskutowano przed wyjazdem — i co z tego?

Rzecz pewna, że aktorzy zebrali masę oklasków i jeszcze więcej kwiatów, że teatr był przyjęty wręcz entuzjastycznie, że recenzje były bardzo pochlebne. Prawdą jest jednak także, że w tym entuzjazmie były różne odcienie, a nawet wahania.

Niewątpliwie, dla publiczności łuckiej najbardziej dyskusyjny był „Pierwszy dzień wolności". Była to propozycja teatru intelektualnego, problemowego, jednocześnie jednak, dla publiczności łuckiej, nie znającej polskiego kontekstu tej sztuki — teatru problematycznego. Upraszczam — ale niektórych widzów dziwiło po prostu to, że pięciu młodych, zdrowych ludzi, gada i hamletyzuje — zamiast od razu iść na front...

„Przygoda florencka" przyjęta była serdecznymi wybuchami śmiechu, właśnie na to ta komedia zasługuje. "Chwytał" zresztą także ukryty — a może nie ukryty — problem tej sztuki: powrót z emigracji. Problem bardzo aktualny na Ukrainie. W samym Łucku mieszka obecnie kilkuset reemigrantów ukraińskich z Argentyny — powrócili niedawno. Te sprawy są więc tu żywe. Jednak poważniej traktowane.

„Igraszki" też cieszyły się wielkim powodzeniem — mimo że dużo w tej sztuce dowcipu słownego nie zawsze zrozumiałego dla ukraińskiego widza (wielu jednak zna doskonale język polski). Ale przy okazji „Iraszek" teatr lubelski spotkał się poważnym zarzutem. Obiekcje recenzenta wzbudził „formalizm" scenografii. Także publiczność miała pretensje o dekoracje. Były zbyt ascetyczne. Publiczność chce, żeby spektakl teatralny był jednocześnie widowiskiem. Publiczność nie tylko łucka. Byłem niedawno w Warszawie na „Triumfie medycyny". Otóż występujący w tej sztuce, a bardzo realistycznie potraktowany, wehikuł zebrał dużo, dużo więcej oklasków niż... Kazimierz Rudzki.

Usiłowałem tu zanotować blaski — ale także i cienie — naszej wizyty w Łucku. Najważniejszym wynikiem tych odwiedzin było nawiązanie — osobistych już, bezpośrednich i serdecznych — węzłów przyjaźni z sąsiadami zza miedzy.

Życie Rawika i jemu podobnych „ustabilizowanych" emigrantów ma niewiele wspólnego z życiem „normalnych ludzi". Właściwie trudno to nawet nazwać życiem. To po prostu wegetacja, przeżywanie dnia po dniu w ciągłej obawie, że może nastąpić katastrofa.

✣

Losy Rawika są dosłownym dalszym ciągiem przeżyć Pawła, Ernesta, Roberta i Ludwika bohaterów pierwszego członu twórczości Remarque'a. Ludzie ci, mimo zmiany nazwisk i pewnych cech osobowości, są jednym człowiekiem na czterech etapach życia, na przystankach historii. Paweł w okopach zachowuje wobec granatów resztki dziecinnego entuzjazmu, tracąc go jednak powoli, a w końcu gubiąc. Ernest wynosi z wojny rozczarowanie i w pokojowym istnieniu pogłębia je jeszcze bardziej. Dochodzi do wniosku, że nie nadaje się już do niczego, że poza umiejętnością strzelania niewiele umie. Trudno mu znaleźć drogę powrotną do życia. Dalszym ciągiem jego szukania Remarque obarcza Ludwika, który (pod koniec zresztą książki) wyrywa się z paskarskiej bryndzy i wstępuje na drogę, która ma go zaprowadzić z powrotem do życia, do lepszego życia.

W ostatnich jednak zdaniach książki (w Nachgeschichte) Ludwik przyznaje się do klęski: „nad Niemcami zapadła noc, opuściłem kraj, a kiedy wróciłem — leżał w ruinach".

Inne wcielenia Bodmera to Robert Lohkamp — bohater powieści pt. „Trzej towarzysze". On także dusi się w powojennym, paskarskim, pełnym sprzeczności świecie — i jemu trudno wejść na właściwą drogę. Dalsze jego losy to przygody Rawika: zupełne otępienie, powrót do życia przez miłość Joanny i końcowa klęska. Raz jeszcze — w powieści pt. „Czas życia i czas śmierci" ożywia autor jednego z galerii bohaterów swych pierwszych powieści. To porucznik Jerzy Rahe — przyjaciel Ernesta z „Drogi powrotnej" — zupełnie zobojętniały, automatycznie wykonujący swe funkcje, oficer rezerwy, który, dość zresztą lękliwie, usiłuje na froncie wschodnim odgrodzić się od metod SS.

Ale Rahe to tylko epizodyczna postać. Naczelne miejsce zajmuje tu już inne pokolenie, bliższe młodym tułaczom z „Kochaj bliźniego", a może trochę „szczeniakom w sraczkowatych koszulach" z „Czarnego obelisku", czy ich rówieśnikom w wojskowych butach i sztylpach, jak mordercy Gottfryda z „Trzech towarzyszy".

To pokolenie młodych, wychowane przez hitlerowców, zdaje się, przynajmniej na pozór, przekreślać nadzieje wyrażone przez Remarque'a w introdukcji do „Czarnego obelisku": ...„wierzyliśmy w rzeczy tak podejrzane jak ludzkość, sprawiedliwość, tolerancja — a także w to, że jedna wojna światowa powinna być wystarczającą nauczką dla jednego pokolenia...".

W rzeczywistości jest to jeszcze jedna generacja skrzywdzona i oszukana, zawierająca bezsprzecznie większą liczbę jednostek wykolejonych (i to w sposób udoskonalony od czasów Kaisera) ale nie zmieni to faktu, że przeżycia bohaterów „Na zachodzie..." czy „Drogi..." bledną w zestawieniu z urlopowymi przygodami bohaterów „Czasu życia...". Tamci przynajmniej mogli wrócić do domów niezbombardowanych...

✣

Akcja większości książek autora „Drogi powrotnej" umieszczona jest w Południowych Niemczech. Nie jest to fakt bez znaczenia. Tłumaczy to niechęć, jaką w każdej swej książce obdarza Remarque Prusaków. Pruskość to dla Remarque'a zespół cech zatruwających ducha lepszej części narodu niemieckiego.

Remarque jest Europejczykiem pozbawionym szowinistycznej mgły na oczach. Pozwala mu to dojrzeć wszędzie ponad Niemcem — Człowieka. Książki Eryka Marii Remarque'a obrazując tragiczną drogę dwóch pokoleń, nie tylko zresztą niemieckich, stanowią jednocześnie groźne memento...

Bohdan Królikowski

PRZEGLĄD LITERACKI

ZBIGNIEW PĘDZIŃSKI

Dobrym prawem i obowiązkiem młodej literatury każdego czasu jest przedkładanie czytelnikowi świeżych, nowatorskich propozycji problemowych i artystycznych, opracowywanie nie tkniętych dotąd piórem tematów, próbowanie eksperymentem technik i stylów pisarskich. Zjawisko takie o najwyższym bodaj stopniu nasilenia od dwudziestolecia obserwujemy i u nas, przy czym pałeczkę prowadzenia w tym swoistym wyścigu do najróżniej, nie zawsze zatem słusznie i trzeźwo rozumianej nowoczesności przejmuje od pewnego czasu od debiutów poetyckich młoda proza. Oto uzasadnienie, dlaczego pierwszy „Przegląd literacki", w którym pragnę każdorazowo omawiać pięć książek, charakterystycznych jakoś dla zainteresowań dzisiejszego pisarza i czytelnika, obejmuje „Z ziemi i deszczu" Anny Danuty Kaczyńskiej, „Harmonijkę" Macieja Patkowskiego, „Jutro nie będę tajemnicą" Krystyny Kleczkowskiej, „Portret z pamięci" Stanisława Stanucha i „Miejsca nawiedzone" Włodzimierza Odojewskiego.

Zaczynam od propozycji najbardziej udanej tematycznie i artystycznie — tym więcej, że „Z ziemi i deszczu" jest debiutem, wśród debiutów odkrytych konkursem Wydawnictwa Łódzkiego, a dotychczas opublikowanych, najbardziej świeżym, ciekawym, obiecującym. Dramat rozchodzących się i zawiązywanych na nowo małżeństw, pokaźna cena, jaką za zjawisko sucho zwane przez prawników „rozkładem pożycia małżeńskiego" musi aż nazbyt często płacić główny, a niewinny bohater tego dramatu: dziecko, to problem, wydawałoby się, dostatecznie już obgadany i obejrzany przez publicystów, socjologów i autentycznych bądź domorosłych moralistów. Ale Kaczyńska potrafiła z zadziwiającą u debiutantki dojrzałością i wszechstronnością spojrzenia na człowiecze serce, na rozdzierające je konflikty i sentymenty, tchnąć w ów problem rozkładu rodziny życie, które jakoś niewiele ma wspólnego z egzystencją fikcji artystycznej, wiele za to z otaczającymi nas na codzień żywymi ludźmi i ich sprawami. Co nie znaczy, by „Z ziemi i deszczu" nie było udanym i dojrzałym, podobnie jak fabuła, eksperymentem kompozycyjnym: postacie naszkicowane ze znajomością charakteru i psychiki chwilami przypominają dobry wzór Nałkowskiej, zostają osadzone w spoistym, wymierzonym zaledwie jednym dniem, tle chronologicznym, w subtelnej, a sugestywnej aurze emocjonalnej i obyczajowej, w narracji — mimo kompozycyjnego kunsztu — prostej, spokojnej, komunikatywnej. Ciekawej propozycji tematycznej odpowiada dobra pisarska robota.

Ale już w „Harmonijce", pierwszej podobno z napisanych, choć nie z wydanych, powieści Macieja Patkowskiego, zaczyna się niebezpieczny, bo symptomatyczny dla młodej polskiej prozy, rozziew propozycji tematycznej z jej realizacją w tworzywie literackim. Temat aktualnie i dobrze podpatrzony z współczesności: los jednego z wielu, niestety, naszych akademików, przegrywającego życie i studia i — tu się zaczyna nawet optymizm propozycji — przekształcającego, odradzającego z nagła swój stosunek do świata i ludzi, do społeczeństwa i ojczyzny, czyli, zgoła, propozycja społecznikowska. Niestety, nie wsparta, raczej osłabiana, chwilami przekreślana przez konkretyzację artystyczną. Patkowski ze starczym iście uporem naśladuje samego siebie, watuje narrację zbędnym wielosłowiem i jeszcze bardziej niepotrzebnym, nie umotywowanym psychologicznie erotyzmem, węzłowe punkty akcji zanurza w płytkiej wodzie melodramatu. I tak w miarę lektury „Harmonijka" staje się coraz mniej potrzebna czytelnikowi i samemu, obiecującemu przecież, pisarzowi, chociaż coraz silniej odczuwają oni obaj potrzebę dobrej, młodej prozy o młodych cierpieniach, klęskach i zwycięstwach.

Nie takich jednak, jakie (myślę o młodych cierpieniach) wypełniają opowiadania Krystyny Kleczkowskiej, czyli „Jutro nie będę tajemnicą". Są to cierpienia niby serdeczne, w istocie — erotyczne i to erotyzmem zebranym z nieuważnie, powierzchownie przeczytanych książek Freuda i Adlera i ich literackich wielbicieli. Kobieca narratorka wszystkich tych nowelek potrafi wyłącznie patrzeć w siebie, uwielbiać własne, prymitywne, niestety, doznania i odczucia, smakować w wypełnionej nimi, a podnoszonej do rangi metafizycznego problemu, samotności. Zmarnowana to młodość, która kostnieje w absolutnym, oderwanym od przestrzeni i czasu, egocentryzmie i zamyka oczy na świat i ludzi dokoła. I zmarnowana książka.

Nie tylko Kleczkowskiej, niestety. Dziwne, że nikt dotąd nie zwrócił uwagi na podobieństwo do siebie „Portretu z pamięci" Stanisława Stanucha i „Miejsc nawiedzonych" Włodzimierza Odojewskiego. Obie przecież powieści — chociaż pierwsza z nich

(Dokończenie na str. 12)

Anna Danuta Kaczyńska: Z ziemi i deszczu. Łódź 1959, Wydawnictwo Łódzkie; Maciej Patkowski: Harmonijka, Warszawa 1960, Iskry; Krystyna Kleczkowska: Jutro nie będę tajemnicą. Kraków 1959, Wydawnictwo Literackie. Stanisław Stanuch: Portret z pamięci. J. w.; Włodzimierz Odojewski: Miejsca nawiedzone. Łódź 1959, Wydawnictwo Łódzkie.

Widzi mi się

Góry (II)

Z pewnością to dziwne. Po kilkudniowym pobycie nad morzem wrócić znowu do tematu górskiego. Jednak „mus mnie woła, mus mnie woła". Bałtyk był posępny i zimny, ale kiedyś obłoki ułożyły się nad nim w ten sposób, że do złudzenia przypominały łańcuch wierchów. I cieszę się, że gdy te słowa ukażą się w „Kamenie", znajdę się znowu w swej górskiej ojczyźnie. Wychylę się z okna wagonu „i oto: jest ten wał siny, wieczny, wzruszający swą dobrotliwą powagą. Już są one, góry, Tatry, najpiękniejsze na świecie". Tak pisał o nich Iwaszkiewicz w „Pejzażach sentymentalnych" i z pewnością miał rację.

Najpiękniejsze na świecie? Przecież są góry o wiele wyższe i dziksze, szczyty o kształtach tak wspaniałych jak alpejski Matterhorn czy karakoramski Mustagh Tower. Znam je tylko ze świetnych fotografii Vittoria Selli, podziwiam ich piękno, ale są mi obce. Obce nie tylko w znaczeniu dosłownym, jako że nieznane. Na pewno pozostałyby mi obce, gdybym się z nimi zetknął bezpośrednio. Bo kompleks gór jest we mnie właściwie kompleksem Tatr. Dlaczego, o tym pisałem już poprzednio.

Tylko że Tatry są tak małe. Tylko że schroniska są w nich przepełnione. Tylko, że wyprawa do ich części słowackiej jest z tego względu dość iluzoryczna. Tylko, że turyści są często pseudoturystami: zaśmiecają Park Narodowy, niszczą jego florę i krzykiem mącą spokój górski. Coraz trudniej o zakątek w którym można by się znaleźć sam na sam z naturą. Po Gorganach wędrowałem kiedyś przez cały dzień, na olbrzymiej przestrzeni nie napotkawszy dosłownie nikogo. Dzisiaj może przydarzyłoby się to w Bieszczadach. Ale w Tatrach? Chyba gdzieś w Dolinie Waksmundzkiej, w cyrku nad Wantulami, w Jarząbczej czy w Starej Robocie. Ale i tam o to niełatwo.

Powiecie: pięknoduch. Przypomnicie: socjalizm i masy. Zawołacie: góry dla wszystkich, nie tylko dla wybrańców. Zgoda. Ale pozwolę sobie tu przytoczyć autorytatywne zdanie: „Przede wszystkim lubię w Tatrach spokój odludzia... Nie ma nic wspanialszego nad ten pobyt w czarodziejskim świecie wysokich gór z dala od ludzkiego rojowiska... Tymczasem zbliża się chwila... gdy po wygodnych ścieżkach gnuśne leniuchy wdzierać się będą do przybytków, które otwierały się dotychczas jedynie przed tym, kto sobie dostęp do nich wywalczył w twardym trudzie". Co to za pięknoduch pisał tak już w r. 1911, kiedy sprawa „przeludnienia" Tatr nie była jeszcze tak paląca? To w „Szkicach o Tatrach" Julian Marchlewski, przywódca klasy robotniczej.

I mimo woli zazdrości się czasom Chałubińskiego i z rozrzewnieniem czyta się jego „Sześć dni w Tatrach" czy Rajchmana „Wśród białej nocy" albo klasyczne Witkiewiczowskie „Na przełęczy". Bo choć to nieraz bywały i walne wyprawy, ale Tatry były puste, a szczyty czekały na zdobywców.

Karłowicz apelował w swoim czasie: „Szanujcie ciszę i majestat gór". To wezwanie jest dzisiaj jeszcze bardziej aktualne niż przed pięćdziesięciu czterema lat. A chodzenie po górach z grającą „Szarotką", którą kiedyś słyszałem na Kasprowym, a kiedy indziej znów na Hali Strążyskiej, powinno być wzbronione i karane wysoką grzywną tak samo jak zrywanie autentycznych szarotek.

X. Rovay

Wspomnienia i rzeczywistość

(Dokończenie ze str. 2)

szkolnej. Nie była ona zbyt zasobna. A my szukaliśmy przygody, egzotyki i wielkich ludzkich wzruszeń....

W okresie powojennym powstało w Dołhobrodach szereg obiektów kulturalnych: duży, nowoczesny budynek szkolny. Przestronne, pełne słońca sale lekcyjne, wielka sala gimnastyczna, gabinety pełne szaf z książkami, gry i zabawy, przybory naukowe.

Poza tym mieszka tu 4—5 nauczycieli i woźny. Na terenie gromady powstaje nowa szkoła. Wstępne prace zaczęto. Agencja pocztowa oprócz kierowniczki zatrudnia dwóch listonoszy, którzy mają pełne ręce roboty. W murowanym budynku, zbudowanym tu jeszcze przed wojną, zwanym „domem ludowym", dwa razy w tygodniu wiejskie stałe kino wyświetla filmy polskie i obce. Poza tym odbywają się tu zebrania gromadzkie, zabawy i niekiedy występy amatorskich zespołów. Wieś jest zelektryfikowana i prawie że w całości zradiofonizowana. Radiowęzeł, sporo aparatów lampowych. Mijam budynek, gdzie mieści się Ośrodek Zdrowia, i wchodzę do sąsiedniego budynku. Z przedpokoju jedne drzwi prowadzą do pokojów zajętych przez pracowników PGR, drugie do biblioteki. Dwa stoły pełne książek i katalogów, kilka krzeseł. Można usiąść i delektować się lekturą. I książki, książki. Całe ściany zastawione półkami książek. Książki rolnicze, popularno-naukowe i literatura piękna. Wzrok pełen pieszczoty ślizga się po oprawnych grzbietach tomów. Odnosi się wrażenie, że rozległy świat i czas ze swoimi epokami historii skurczyły się, zaklęte potęgą słowa w czterech ścianach skromnego pokoiku, zagubionego wśród wiejskich pustkowi...

Wielka literatura światowa. Gwiazdy pierwszej wielkości i te mniejsze od kryminałów i książek podróżniczych. Jest marzycielsko-dostojny, zapatrzony w nieodgadnioną tajemnicę morza Conrad, tkliwo-wzruszający — Dickens, fantazją wybiegający w przyszłość Wells i dostojny Flaubert. Tołstoj i Balzac. W. Hugo i Romain Rolland, Szołochow i Mark Twain. Młodziutka bibliotekarka, Helena Błysikosz, udziela wyjaśnień. W jej oczach pełnych entuzjazmu słońce zapala złote błyski. Najbardziej poszukiwani z Polaków Sienkiewicz, Prus, Rodziewiczówna. Z obcych: Al. Dumas, Hemingway, London, Verne, Cooper, Curwood, May, Stevenson, Scott.

Większość czytających to młodzież i dzieci, którym już za mało szkolnej biblioteki. Ale dużo jest i starszych. Czytelnicy stają się coraz wybredniejsi. Wybierają, szukają nowości... Rozwija się smak, rośnie głód Piękna, poznania otaczających nas ogromów świata. Wychodzę oczarowany.

Antoni Oksytiuk

PRZEGLĄD LITERACKI

(Dokończenie ze str. 11)

jest jedyną dotąd, a „Miejsca nawiedzone" aż siódmą pozycją autora — napisane zostały podobną techniką, naśladowaną z Camusa i Becketta, która wydobywa i podkreśla tym silniej już nie tylko erotyczne, ale ogólne, ontologiczne osamotnienie człowieka w świecie. I gdyby owa sprawa, obecna zresztą w nierównie drastyczniejszej, ale i sugestywniejszej konkretyzacji już w literaturze romantycznej, opowiedziana została przez Odojewskiego i Stanucha własnym, nie strojonym wiernie na cudza, a modną nutę głosem — można by podjąć z nimi dyskusję merytoryczną. Niestety, „Miejsca nawiedzone" i „Portret z pamięci" to tylko książki modne, wydumane w literackiej kawiarni, wyczytane w koncepcjach i postulatach nie zawsze odpowiedzialnych krytyków, koszlawiące talent powieściopisarski, który ma niewątpliwie i Stanuch, i Odojewski. Jednak — jak wskazują chociażby losy Cyganerii Warszawskiej i Młodej Polski — każda młoda literatura każdego czasu musi u nas wybierać między modą i autentyzmem. I od tego wyboru zależy również pisarska przyszłość Kaczyńskiej, Patkowskiego, Kieczkowskiej, Odojewskiego i Stanucha — przyszłość wśród czytelników...

Zbigniew Pędziński

NOTY

BRIUSOW PO POLSKU. Celofanowa biblioteka poetycka Państwowego Instytutu Wydawniczego wzbogaciła się o nową pozycję: pod redakcją Włodzimierza Słobodnika ukazały się „Poezje wybrane" Walerego Briusowa. Książka, opatrzona wstępem redaktora, daje przekrój twórczości tego mało na ogół znanego u nas symbolisty rosyjskiego od roku 1895 do 1923. Przekładów dokonało 29 poetów.

WŚRÓD WIERSZY w ostatnich numerach tygodników literackich na szczególną uwagę zasługują utwory Bohdana Drozdowskiego „Twoje imię" i „Posłanie", zamieszczone w numerze 30 „Życia Literackiego".

W „TWÓRCZOŚCI" (nr 6) znajdujemy m. in. dwa bardzo dobre opowiadania: Tadeusza Różewicza „W najpiękniejszym mieście świata" i „Klęskę" Stanisława Piętaka.

NR 4 „TATERNIKA" został w całości poświęcony pamięci Wawrzyńca Żuławskiego, który w sierpniu 1957 r. zginął ofiarnie na stokach Mont Blanc du Tacul w poszukiwaniu tragicznie zaginionych w masywie Mont Blanc Stanisława Gronskiego i dwóch alpinistów jugosłowiańskich. O Żuławskim — alpiniście, pisarzu, kompozytorze i pedagogu piszą jego bracia Marek i Juliusz Żuławscy, T. Orłowski, Artur Puszkarz, M. Zajączkowski, J. A. Szczepański, J. Brzechwa, W. Rudowski, Wład. Malinowski, M. Mierzejewska, J. Pierzchała i J. Jurandot. Numer ten powinien zainteresować nie tylko taterników.

„BOHATERZY NIEBOHATERSKICH CZASÓW" — oto tytuł interesującego artykułu A. Turowskiej, zamieszczonego w numerze 7 radzieckiego miesięcznika „Nowyj Mir". Autorka, nawiązując do znanych książek Hemingwaya („Zielone wzgórza Afryki"), Heyerdahla („Kon-Tiki"), Al. Bombarda („Dobrowolny rozbitek"), R. Blomberga („Złoto i anakondy"), Herzoga („Anapurna") i in., zastanawia się nad przyczynami, które popychają niektóre jednostki do szaleńczych, grożących śmiercią wypraw. Dochodzi do wniosku: „Człowiek chce czuć się człowiekiem. Chce poznać i zmierzyć prawdziwą wartość swych sił. I omijając złożony system współczesnych stosunków burżuazyjnych, które człowieka pozbawiają wyrazu i czynią go niewolnikiem powszedniości, przystępuje do bezpośredniej walki z przyrodą". „Tak, człowiek może pozostać człowiekiem nawet zgnieciony mocą techniki i pozbawiony wyrazu przez potężną rutynę bytu. Pozostaje bohaterem nawet w niebohaterskich i bezdusznych czasach".

-kaj-

List kobiety z wczasów

*Szanowna Pani Redaktor — Redaktorze — Redaktorko *),*

Jak Pani wiadomo, na wczasy pojechaliśmy tradycyjnie do wsi K. Leży ona nieopodal szlaku Kraków — Zakopane w Beskidzie Wyspowym. Sławę letniskową zawdzięcza literaturze. A mianowicie: K. rozciąga się u stóp góry. Na zboczu góry ma swe letnie domicilium znany literat krakowski, Jan Szcz. Najpierw Szcz. przyjeżdżał tu sam, potem z żoną, potem z rodziną, potem zaczęli zjeżdżać jego krewni i znajomi, potem znajomi znajomych, potem nieznajomi znajomych nareszcie całkiem nieznajomi. Teraz walą tłumy. Tłumy dzielą się na kilka kategorii. Elitę stanowią z lekka obdarci intelektualiści oraz znakomicie wyekwipowani („Gallux" plus słynne krakowsko - nowotarskie „ciuchy") przedstawiciele wolnych zawodów i prywatnej inicjatywy. Zarówno intelektualiści, jak ci inni, są zmechanizowani. Wolnozawodowcy tudzież ripowcy mają samochody, a intelektualiści — maszyny do pisania. Posiadacze samochodów z ukrywanym, ale szczerym politowaniem patrzą na intelektualistów, intelektualiści z jawną — ale czy szczerą?... — pogardą patrzą na posiadaczy samochodów. Na złość im uprawiają z amatorstwem turystykę, to znaczy wdziawszy zabłocone trampki lezą, gdzie ich nie posiano, a gdzie samochodem nie dojedziesz. A potem bardzo głośno zachwycają się, jakie stamtąd — dokąd samochodem nie dojedziesz — piękne widoki. A propos, czy słyszała Pani kiedy, aby intelektualista, dochrapawszy się cudem (bez cudu ten numer nie przejdzie) własnej maszyny-do-jeżdżenia, pasjonował się dalej pieszą turystyką?...

Poza tym wśród wyż. wspomnianych tłumów nawiedzających K. wyróżnić można: Matki-z-Dziećmi (niektóre dekonspirują się czasem jako Babcie-z-Wnukami), Harcerzy, Turystów oraz Młodzież, Harcerze i Turyści, jak sama nazwa wskazuje, uprawiają turystykę i prohibicję. Szanujący się turysta pija wodę tylko z potoku, bez względu na pogodę myje się w rzece, a posiłki przyrządza wyłącznie na kocherze, nawet gdy ma do dyspozycji elektryczny piecyk NRD-owskiej produkcji. Co do młodzieży to prohibicją ani turystyką się nie kalają, a natomiast uprawiają smażenie się na plaży, pławienie w Rzece, bridż, flirt i „te rzeczy". Poza tym hołdują modzie przekrojowej i noszą sombrera made in Kozia Wólka.

Co do mnie, należę do smutnej kategorii Matek-z-Dziećmi. Jak wygląda cały dzień takowych, Adam Macedoński wierszem pięknie w „Tygodniku Powszechnym' opisał. Teraz jedni go za to okropnie beształ, a inni — inne! — bardzo chwalą. Ja zaliczam się do tych ostatnich. Brawo, Macedoński, hip-hip-hurra, Macedoński, sto-lat, sto-lat, niech

— żyje
— żyje
— żyje
— żyje
— nam!...

A więc, jako Matka-z-Dziećmi perspektywy na wczasy miałam nijakie. Ale Wysoka Rada Familijna orzekła: „W tym roku musisz wypocząć" — i zafundowano mi na miesiąc Pomoc. Dobre dusze zadziałały, Pomoc się znalazła, umówiła i, o dziwo, — słuchajcie! słuchajcie! — w terminie z Lublina do K. przyjechała. Aż mi przykro było, bo kto to u nas słyszał co w terminie i według umowy robić Przyjechało tedy miłe dziewczę i przywiozło całą szafę jedwabno-nylonowych kreacji i wdzianek, ale żadnego roboczego fartuszka. Ja mam co prawda parę fartuchów, ale kreacje znacznie podlejsze, więc od razu kompleks mniejszości. I jak tu z nizin takiego kompleksu powiedzieć na przykład: „Moja złota, podłoga bardzo brudna, może by pani przetarła". Więc nic nie mówię, podłoga jest brudna i coraz brudniejsza, a moje sumienie też. Bo czuję, że między Pomocą a mną zachodzi stosunek eksploatacji człowieka przez człowieka, a w dodatku rozterkę moją pogłębia fakt, że nie jestem pewna, kto kogo. A taka rozterka to bardzo przykra rzecz, Pani Redaktor — Redaktorze — Redaktorko, zwłaszcza w połączeniu z brudną podłogą...

Na szczęście Ukochani Domowi Mężczyźni czuwają, abym nie miała zbyt wiele czasu na takie duszno-ideologiczne komplikacje. Wyciągając wnioski z faktu, że Kobieta ma Pomoc, szczebiocą chórem mniej więcej w ten deseń:

Mężczyzna No 1: No, skoro masz Pomoc, to może mi wreszcie wycerujesz tych dwanaście par skarpetek, przyszyjesz wszystkie guziki do koszul, a jak to już będzie zrobione, to w nagrodę pójdziemy sobie na śliczną trzydniową wycieczkę. Cały prowiant weźmiemy z sobą, co razem ze śpiworami, namiotem, płachtami i ubraniem na wypadek niepogody da raptem jakieś 50 kg. Gotowaniem już ja się zajmę, a ty będziesz tylko szorować menażki. Zrobimy — bagatela, jakieś 60 km, a w tym w sumie około 1000 m podejścia. Nie będę cię forsować, musisz przecież wypocząć...

Mężczyznek No 2: No, masz Pomoc, to ubieraj się, zaraz będzie autobus, pojedziemy na lody i kupisz mi kapiszonów, bo tu nie mają...

Mężczyźniątko No 3: Mamusiu, no maś Pomoć, to telaz możesz się cały dzień bawić z Gliglusiem. Ja będę woźnicia, a ty konik. Wio, konik, wio!...

No, więc, Pani Redaktor — Redaktorze — Redaktorko, właśnie wróciliśmy z lodów, wybieramy się na 3-dniową wycieczkę i jestem konikiem.

Czego i Pani życząc

pozostaję oddaną

Jedną-z-wielu-Kobiet-na-Wczasach

*) Warianty z myślą o Miłośnikach Językoznawstwa...

Dwutygodnik literacki „Kamena" • Redaguje Kolegium • Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich • Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 1-c • Telefon: 36-45 • Redakcja rękopisów nie odsyła • Warunki prenumeraty: kwart. zł 12, półrocznie zł 24, rocznie zł 48. Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu" zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu". Prenumerata przyjmowana jest od 16 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonywa się przedpłaty. Prenumerata za granicę: kwartalnie zł 16,80; półrocznie zł 36.40; rocznie 72,80. Zamówienia i wpłaty przyjmuje P. K. W. Z. „Ruch", Warszawa, ul. Wilcza 46, Nr konta PKO 1-6-100024 oraz „Ruch" Lublin, nr konta PKO Lublin 2-6-544. Lubelska Drukarnia Prasowa — Unicka 4.
Zam. 3004. 30.VII.60 S-6